



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

MIKOŁAJ ZYBLIKIEWICZ.

Na ementarzu zasłużonych przybyła znowu jedna mogiła. Od kilku miesięcy śmierć zbiera z nas straszliwe żniwo: porywa sławę, talent, pracę; ścina i dojrzałe kłosa i te, którym czas się jeszcze należał, aby ziarno zasługi w zupełności rozwinąć się i dojrzeć w nich mogło.

Których więcej żałować? Próżnia robi się zawsze i po jednych i po drugich; dla serca każde rozstanie się jest stratą: ale w rachunkowości życia—jego potrzeb i trudów, jego nędz i pomyślności—co innego znaczy nagłe ustanie siły działającej a co innego zgaśnięcie światła całkowicie nabytej już zasługi, dokonanej pracy, objawionej indywidualności. Przytem śmierć nie ma nigdy tak gwałtownie szarpiącej ręki wtedy, gdy zabiera człowieka myśli, jak wtedy, gdy porywa człowieka czy nu. Bytowski żywi się zarówno wszystkim: literaturą, sztuką, nauką, przemysłem materialnym; ale bezpośrednio już żyje obywatelstwem. Dlatego z dwóch trudów i dwóch zasług jednej miary, je-



† Mikolaj Zybliekiewicz.

dnako rozokolonych—umysłowej i obywatelskiej—ta ostatnia wywoła zawsze żal powszechniejszy i pozostawi po sobie większą, bo nietylko uczuciową, ale i pozytywną społeczną stratę.

Wśród zmarłych w ciągu ostatnich kilku lat po Kraszewskim największy jest Zybliekiewicz. Był to także poeta, ale poezji swej szukał w działalności obywatelskiej: w niej cały się zamknął, w niej żył, w niej wreszcie—w wieku, w którym miał prawo jeszcze świecić—zgasł. I społeczeństwo, które go utraciło, miało także jeszcze prawo do jego życia. Ale śmierć nie pytała o niczyje prawa. Dziś z człowieka zostało trochę kształtu i materii cielesnej, ale zostało też i wiele, wiele pamięci i ta mu starczy na długie potomne życie.

Potomność uzna w Zybliekiewiczu rzadką u nas indywidualność. Był to najpierw najdoskonalszy *self made man*—człowiek, który nikomu i niczemu nie zawdzięczał, ani kołyse, ani salonowi, ani ulicy; czem był, stał się przez samego siebie; własną energią rozwijał się, wzrósł i wzbil ponad innych. A potem, w kraju możnowładczego *liberum veto*, w kraju op-

tymatów i ojczyzn prywatnych był człowiekiem rzetelnie publicznym; umiał doskonale przejąć się powszechnością, wchłoniąc w siebie główne jej żywioły; umiał do pewnego stopnia zręczyć się siebie dla wszystkich; umiał, nie tylko ideą dobrą powszechnego przyświecać, ale odwagą swoją, miłością, rozumem, znojem, nieraz nawet ofiarą i cierpieniem, dobro to rzeczywiście pomnażał. Nazwano go „Wielkim Galicyaninem“; on był czemś więcej: był w wielkim stylu—nie-Galicyaninem.

Mikołaj Zyblikiewicz urodził się we Wschodniej Galicyi, w mieście powiatowem Staremiasto, o kilka mil na południo-zachód od Sambora, nad Dniestrem. Podawany za życia jeszcze rok urodzenia 1824, niektóre wzmianki pośmiertne cofają do 1823. Ojciec, z pochodzenia Rusin, był ubogim mieszczaninem, ciężko na chleb pracował, miał ledwo czem dzieci wyżywić, nosił wyszarzaną kapotę. Syn i tę kapotę i ojca i ród swój nieznany uświetnił. To, czem był mimo woli swojej, i czem się stał później przez wolę, wyrażał słowami Orzechowskiego: *Gente Ruthenus, natione Polonus*. Dumnym był z tego rodovodu, jakby z najświetniejszego klejnotu szlacheckiego; do niego stosował działalność swoją publiczną i nigdy mu się nie przeniewierzył.

Łatwiej było przyjść na świat, niż sobie na nim poradzić. Przez biedę przebrnął jednak malec szczęśliwie do szkoły; poduczony w Samborze urzeczywistnił marzenie swoje o gimnazjum i dostał się do Lwowa. Po skończeniu nauk osiadł na mieliźnie. Do wielu zawodów społecznych haniebny systemat ówczesny albo zupełnie nie dostep tamował, albo go też wielce utrudniał, zwłaszcza dla młodzieży niezamożnej. Kilka lat upłynęło młodemu Mikołajowi na guwernerce, przerywanej bezrobociem. Tylko siła charakteru podtrzymywała go w walce z przeciwnościami, a ciągła praca nad sobą pozwoliła mu zachować się dla pomyślniejszego jutra. Zabłysło mu ono wraz z nominacją na zastępcę nauczyciela w liceum tarnowskim. Było to w Listopadzie 1848 r. Miał wykładać historią — w języku polskim. W Sierpniu 1849 r. był już bez posady. Przyszła reakcja; młodemu zastępcy dano dymisję za zbytnią gorliwość w korzystaniu z praw do takiego, a nie innego, języka wykładowego. Nie mając żadnej nadziei utrzymania się w zawodzie nauczycielskim, postanowił Zyblikiewicz przenieść się do zawodu prawnego i wejść na drogę adwokatury. Postanowienie to prędko urzeczywistnił i w roku 1851 otrzymał w Uniwersytecie Jagiellońskim dyplom doktora praw. Ani ten dyplom wszakże, ani praktyka, odbyta pod rządami Kodexu Francuzkiego, nie wystarczyły do zostania adwokatem; trzeba było zdać examina z prawa austriackiego i kilkoletniej praktyki austriackiej. Udał się więc człowiek już trzydziestoletni nanow do Lwowa po naukę; przeszedł przez wydział prawny i subselia sądowe i nareszcie na jesieni 1855 r. został adwokatem w Krakowie. Adwokatura bywa zazwyczaj tylko sprawą prywatną, ale Zyblikiewiczowi w prywatności wszelkiej było już wtedy zaciąsną; adwokat krakowski był zarazem i obywatelem już nie tylko krakowskim. Przy zdolnościach bardzo wybitnych — na których pierwszy poznał się Adam Potocki z Krzeszowic, — zaczął odkładać grosz zapracowany; ale w pogoni za guldenem nie wyrzekł się podnioślejszych dążeń. W swoim *Curriculum vitae*, przygotowanym przed kilku laty dla jednego z czasopism krakowskich, tak początki swej praktyki obywatelskiej opisuje:

W Czerwcu 1857 r. wystąpiłem jako obrońca przy rozprawie karnej, aby sąd przy całej rozprawie używał języka dla mego klienta zrozumiałego. Nie śmiałem domagać się języka polskiego, bo wówczas to zakrawało na zbrodnię stanu, żądałem więc tylko języka zrozumiałego. Za to miałem być usunięty, jednakże minister sprawiedliwości poprzestął na surowej naganie, a rozprawy odbywały się dalej poniemiecku.

„Tę samą walkę rozpocząłem o język polski w sądach cywilnych, pisząc do nich popolsku, a gdy mi odrzucano podania polskie, rekurrowałem, lecz rekursa pisałem poniemiecku, aby były zrozumiałe i demonstrowałem Niemcom w rekur-

sach, „że język niemiecki w naszych sądach nie tylko nie jest uprawniony, ale nawet tolerowanym być nie powinien“. Takie były konkluzje moich rekursów. Z początku odbierałem nagany za to; najmocniejszą wypisał mi p. X., który razem z prokuratorem starszym, prześladowali język polski i mnie z nim razem.

„Przejechałem się po Galicyi aż do Lwowa, żądając od kolegów adwokatów, aby mnie naśladowano w żądaniu języka polskiego. Jeden tylko Kański w Tarnowie poszedł za moim przykładem; nikt zresztą nie miał odwagi, a stan umysłów był wówczas taki, że mnie nazywano waryatem, a przynajmniej tem, czem nazwalibyśmy dzisiaj tromtadracyą. Nie uląłem się groźby kassaty, ani nagan—walczyłem dalej.

„Nadprokurator, największy polakożerca, miał długi; wykupiłem więc jego wexle, zaskarżyłem go i ściagałem exekucyą aż do tego stopnia, że blizki był konkursu, to jest krydy, po której ogłoszeniu tracił urząd. Wtedy broniał się, jak mógł. Zrobili mi w sądzie kryminalnym proces o oszczerstwo (za jedno z pism moich sądowych o sędziach); wlokło się to, a ja nacierałem exekucyą. Proces mój karnej odrzuciła apellacya, prokurator kapitulował, i zrobiłem z nim układ, że sam ustąpi z urzędu, że się wyniesie z Krakowa, nigdy tu nie powróci, a pensyą swoją, jako emeryt, odstąpi na rozplacenie wierzyteli“.

(Dokończenie nastąpi).

DWA HYMNY.

Tam pędzą martwe bryły w błękitach bez końca
A choć różne tory kreslą,

Jednak te wszystkie światy, te olbrzymie słońca
W swym biegu wspólna, zgodną leją pieśń wokoło,
Przed którą mistrz z Krotony 1) pierwszy schylił
[czoło.

Słyszac ją duchem i myślą.

Jej wtórują miliardy maluczkich żyjatek,
I z nią skał martwych muzyka się zlewa:
Zdeptany w prochu wzgardy nędzny życia szczątek
I piękność form materji; każdy twór natury
Życiem, bytem, konaniem wznosi pieśń do góry,
Co społem z pieśnią aniołów rozbrzmiewa.

Stój! Niech zwolna w przyrody łono myśla twa
[wplynie.

A duch w nadsferne lazury;
Wówczas w tej wielkiej ciszy, w zachwytów godzi-
[nie

Usłyszysz pieśń, jak mędrów modlitwy tak szczytną,
Płynącą tak spokojnie, cicho w dal błękitną,
Dószysz hymnu natury.

We łzach, we krwi i wtrudzie, z pooranem czołem
Człowiek pracuje w swej kuźni;
Raz staje się szatanem, drugi raz aniołem,
Raz swe czoło oświeca jasną myślą bożą,
To znowu namiętności ścisła się obrozą
I pracom stuleci bluźni.

Nieraz głosem rozpaczy, jak szakal, zawyję
Lub w niebo kłątwą uderzy;
To przed ofiar ołtarzem kornie zgina szyję,
Błagalnie wyciągając ręce krwią zbroczone,
Lub drżącym głosem woła o męczeństw koronę
I na stos ofiarny bieży.

Z tych-to dźwięków, Ludzkości, twoja pieśń się
[układa,
To twego hymnu akkordy...

Tam głucho jęczy rozpacz bez sił, drżąca, blada,

1) Pytagoras.

Tam modły ofiar płyną, tam znów wśród zdobyczy
W szalonych bachanaliach tryumfu pieśń ryczy,
A tam płomienie i mordy.

Ludzkości! Kiedyż pieśń twa tak cicho popłynie,
Jak czyste hymny natury?

Ludzkości, niewolnico wieków, w twoim czynie
Czyż się zrodzi dźwięk od krwi i od przekleństw
[wolny

Z archaniołów modliwą zlać się w jedno zdolny
I społem wzlecieć do góry?

Pytam ciebie: dlaczego do świętości drogę
Krew i łzy ludzkie zalały?

Dlaczego musisz stąpać przez mord i pożogę,
Ażeby w rzeczywistość wzniosłą myśl zamienić?
Dlaczego zbrodnię musisz zbrodnią wykorzenić
I zbrzyzczać krwią ideały?

Nie—Ty dziś nie odpowiesz, lecz przyszłość odpo-
[wie,

Gdy cię przed sąd swój powoła;
Gdy staniesz przed nią z wieńcem tryumfów na głowie,
[wie,

Ze spokojem oparta o niebios krawędzie;
Wówczas może i hymn twój takim boskim będzie,
Jak pieśń natury, anioła.

J. Nitowski.

FILISTRY

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I W domu Krezusa.

Służba zaczęła roznosić lody w kształcie różnobarwnych piramid; obiad u państwa Fiszbaumów miał się ku końcowi, obiad wspaniały, wystawny, Lukullusowy, który trwał od półtorej godziny, a składał się z wszelkich przysmaków, jakie najwybredniejsze podniebienia podrażnić mogły.

Długi stół uginał się pod zastawą sreber, porcelany, kryształów; całe kłomby żywych kwiatów w miniaturze rozpościerały się pośrodku, otaczając przepyszne świeczniki ośmioramiennne i postumenta na cukry i owoce.

Przed każdym z dwudziestu gości leżało nakrycie, przynoszące zaszczyt kredensowi zamożnego domu, tak pod względem zasobności, jak i smaku. Cała bateria kieliszków, cienkich, jak bańka mydlana, puharów z czeskiego szkła w starym stylu, otaczała każdy talerz, zdobiony dużym, złożonym monogramem i malowaniami ręcznej roboty.

Ze ścian obwieszonych staremi gobelinami, wdzierały z półcienia pomiędzy rzeźbionym sufitem dębowym a wysokimi lamperyami, ciężkiej gdańskiej roboty, wypłowiałe kontury alegorycznych i biblijnych figur, połyskiwały rozwieszzone majolikowe misy, ustawione na pułkach ozdobne wazy japońskie, dziwacznej kształtu, wdzięczne amfory i konwie średniowieczne, dodające przepychu całej sali.

Olbrzymi kredens zajmował prawie połowę jednej ściany.

Służba, we frakach, białych krawatach i bawelnianych rękawiczkach, uwijała się dokoła stołu, porozumiewając się między sobą spojrzeniem lub półsłówkami powtarzanych rozkazów.

Przy stole panował zmieszany gwar szeptów, rozmów, śmiechów, brzęku kieliszków i złożonych widelczyków, które zastępowały łyżeczki do lodów.

Rozmawiano o niczem i o wszystkim, dziesięć

tematów krzyżowało się co chwila, jeden potraçał o drugi i ustępował nowemu, wszystkie wszelako kierowały się najczęściej ku jednej osobie towarzystwa, która zdawała się zajmować honorowe miejsce przy stole i być przedmiotem ogólnej uwagi. Od niej nietylko zaczynało się półmiski, ale do niej zwracano się co chwila z uprzedzającą grzecznością; wyróżniano ją widocznie.

Osobą tą była kobieta młoda, w pełni rozkwitłych wdzięków, o rysach dziwnie szlachetnych, delikatnych, mających w sobie wybitny wyraz tej jakiejś arystokracji ducha, która przewyższa wszelkie rasowe i rodowe arystokracje. W twarzy, w głosie, w spojrzeniu, w ruchach przebijała wrodzona i wysoka dystynkcyja prawdziwej damy wielkiego świata.

Zdawała się być gospodynią, nie gościem w tem towarzystwie.

Obok niej po lewej stronie siedział mężczyzna około lat pięćdziesięciu kilku, niski, przysadzisty, z krzaczystymi bokobrodami, bez wąsów, z miną finansisty, z typowymi rysami mieszczańskiego pochodzenia, z dolną wargą pogardliwie wyдутą i opuszczoną.

Wszystko na tej twarzy zdawało się mówić:

— Jestem Sylwester Zenon Fiszbaum, milioner, król bankierów, najbogatszy z Krezusów giełdy, gospodarz tego domu i właściciel tych wszystkich srebrnych i złotych naczyń, które przed wami stoją, tego całego przepychu, który was otacza. Ten wyborny obiad gotowało moich dwóch kucharzy, to wino jest z mojej piwnicy, najlepszej w całym mieście — wiercie mi na słowo honoru; te kwiaty są z moich własnych oranżeryi, codziennie świeże; ta dama naprzeciw w morderowej sukni obrzuconej walansyenami, w perłach na szyi i w uszach, to moja żona. Wszystko to moje, słowo honoru moje!...

Dama w morderowej sukni, pani Rozalia Fiszbaumowa, zdawała się być natomiast kontrastem swego męża; sztucznie czy naturalnie zachowywała tę obojętną godność kobiety, która jest wyższą ponad marność tego świata, ponad miliony swego małżonka. Chciała widocznie i umiała, jako gospodyni, zachować minę najskromniejszego gościa u siebie.

W rysach twarzy zachowały się ślady dawnej piękności; poznać było trudno, że stanęła za granicami czterdziestki i że jest babką od lat kilku.

Przy drugim końcu stołu siedziały dwie jej zamężne córki, niepodobne do siebie ani do matki, kolorem kruczonych włosów i sładziej cery świadczące tylko o wspólnem pochodzeniu. Starsza, br. Krülle, była typem smagłej brunetki, przypominającej w profilu znaną „Egiptyankę“ Richtera; młodsza, od roku zamężna, nie straciła jeszcze cechy paniękości, wyglądała na pensyjonarkę, którą dopuszczają już do towarzystwa osób dojrzałych, ale która jeszcze w salonie czuje się zakłopotaną i nie wie dobrze, co ma robić z sobą i swojemi roziskrzonymi oczyma. Pani Jerzbicka z Fiszbaumów miała lat dziewiętnaście dopiero, a wyglądała jeszcze młodziej od trzeciej siostry, panny Ludwiki, którą po skończonej edukacji w Dreźnie przed kilku miesiącami rodzice właśnie sprowadzili do domu.

Wśród wieńca żywych kwiatów, jakie przy stole tworzyły damy, wyjątek stanowiła siedząca nieopodal gospodyni kobieta o dobrze szpakowatych włosach, którą warstwa białego pudru dała srebrnym połyskiem; czarne ruchliwe oczy pod ciemną wążką brwią nadawały twarzy przywiedłej wyraz energii i sprytu. Ostro skrojone usta, zaciśnięte, złośliwe, drgały od czasu do czasu przelotnym uśmiechem lekceważenia, a zmrużone oczy zwracały się bacznie na wszystkie strony, jakby spełniały urząd tajnych szpiegów i miały dar nie tylko patrzenia, ale i słyszenia z oddali.

Mężkie towarzystwo składało się z bardziej urozmaiconych fizioznomii; wszystkie stopnie wieku i powagi, temperamentów i inteligencji znaleźć można było wśród tych biesiadników, rozmieszczonych, jak liście pomiędzy kwiatami wieńca, okrążającego gościnnie stół państwa Fiszbaumów.

Z prawej strony pani domu siedział mężczyzna

z długą siwą brodą, tytułowany z pewnym naciśkiem excellencyą przez gospodarza, mówiący pofrancuzku z charakterystycznym szelestem i przydechem angielskiej wymowy; obok zajmował miejsce jegomość z ryzami bokobrodami w złotych okularach i peruce, którą nieznacznie dużą, piegowatą, rudawym włosem obroslą ręką nasuwał na czoło pomarszczone i przyglądał na skroniach. Rozmawiano z nim poniemiecku wyłączenie, jakby dla jakichś wyjątkowych względów czyniono to ustępstwo językowe dla gościa, używającego pewnych przywilejów w domu, w którym polyglotyzm nie wydawał się żadną nadzwyczajnością.

Przy szpakowatej damie siedział z jednej strony jasny blondyn, o twarzy okrągłej, szerokiej, wyrażającej pewien jowialny humor i zadowolenie uśmiechniętego sybaryty; z drugiej wymuskany, jak lalka, strojny według ostatniego żurnalu, mężczyzna nieokreślonego wieku, który przez cały czas prowadził szeptem rozmowę bardzo ożywioną z młodą szatynką, błyszczącą całą konstelacją brylantów na szyi, na palcach i na głowie. Pierwszy p. Józef Jerzbicki, był mężem średniej córki państwa Fiszbaumów, drugi jego szwagrem a jak świadczyły korony siedmioperłowe u mankietów i nad monogramem szapakłaka, baronem w dodatku.

Na szarym końcu, obok jasnej płowej blondynki, zajmował miejsce mężczyzna z krótko strzyżoną brodą, z włosami w tył odrzuconymi: zakrawający trochę na artystę, trochę na literata, którego sąsiadka starała się nieustannie zajmować swoją rozmową, jak na uprzejmą córkę gospodarza domu, a gadatliwą panią z natury przystało.

Panna Ludwika Fiszbaum wyrosła się zupełnie ze wszystkich cech pokrewieństwa ze swemi siostrami, począwszy od koloru włosów, a skończywszy na usposobieniu i pojęciach.

— Ja pana utrudzam moją gadatliwością — mówiła teraz do sąsiada, usiłującego pokryć znużenie i znudzenie człowieka, który jakby przypadkowo znalazł się w tej sferze — ale spełniam obowiązek wice-gospodyni; mama mi pana szczególnie polecała przy stole, jestem posłuszną córką i robię, co mogę, aby panu skrócić czas marnowany na zajęcie tak prozaiczne, jak obiad. Pan zapewne nie lubi długich obiadów?...

— To zależy przy jakim stole jadam.

— Przyznaj pan jednak, że to o tyle nużące oile nudne.

— Jeżeli mam być szczerym, powiem: tak; ale upatruję w tem winę mego temperamentu jedynie. Z natury jestem prędki, lubię się spieszyć, czasu darmo nie tracę; zwyczajnie na obiad poświęcam kilka, najwyżej kilkanaście minut.

— Zadzroszczę panu — westchnęła panią — ja bo muszę codziennie mniej więcej odsiadywać tak długą pokutę przy stole, zwłaszcza, gdy mamy gości. Papa lubi długie obiady, jakkolwiek sam mało jada, bo najczęściej bywa w kuracjach, a mamie wszystko jedno, czy siedzi przy stole, czy przy fortepianie, czy w swoim gabinecie z książką w ręku. Ręczę panu, że jeśli pani Odoniecka nie objawi chęci powstania, nie ruszymy się do północy z tego miejsca.

— Dlaczegoż to od pani Odonieckiej właściwie zależy nasze wyswobodzenie z niewoli kucharzy państwa?

— A, bo to obiad na jej cześć wyłączną. Nie poznałeś pan tego dotychczas?... to zły z pana obserwator, a mnie się zdawało przeciwnie. Masz pan minę człowieka, który dlatego milczy, aby mógł więcej słuchać i patrzeć.

— Podziwiam w takim razie pani zmysł spostrzegawczy i domyślność. Co do pani Odonieckiej, nie miałem jeszcze sposobności przyjrzeć się jej lepiej; siedzi na drugim końcu stołu, jak bóstwo na ołtarzu za zasłoną kwiatów i światła. To dawna znajomość państwa?

— O nie; rodzice poznali się z nią przypadkowo w Biarritz zeszłego roku i byli zachwyceni tą znajomością; teraz po przyjeździe jej do Warszawy poraz pierwszy mamy przyjemność widzieć ją u siebie. Mogłabym powiedzieć, że jesteśmy obie koleżankami pod pewnym względem...

— Jaktó pani rozumie?

— Rzecz bardzo prosta, ja i ona wchodzimy

razem w świat, obie jesteśmy nowościami w towarzystwie.

— A, tak...

— Pan myślał, że kollegowałyśmy na pensyi w Dreźnie?... byłoby to trochę trudnem, bo pani Odoniecka ma już córkę, którą przywiozła na edukacją do miasta. Wprawdzie to tylko pasierbica, ale zawsze...

— Ta pani zatem jest zamężną?

— Cóż za roztargnione pytanie! — panie Romualdzie, pan miałeś u mnie niezasłużoną opinią bystrego człowieka. Ależ pani Odoniecka nietylko była mężatką, lecz od półtora roku, czy od dwóch lat jest nawet wdową, i to bardzo bogatą, bardzo ładną, prześlicznie wychowaną. Przytóż pan jej lepiej. Powiadają, że bardzo oryginalna kobieta. Podoba się panu teraz?

— Dlaczego pani na to *teraz* położyłaś ten szczególniejszy nacisk?...

Panna Ludwika zakryła usta wachlarzem, ale po oczach jej poznać było, że się uśmiecha złośliwie.

— Odśloniłam trochę kwiatów przed bóstwem — rzekła — abyś pan je mógł lepiej zobaczyć w ukrytych blaskach. No, jakże ją pan znajduje?

Romuald ramionami wzruszył.

— Nie umiem sądzić o kobietach, z którymi nie rozmawiałem ani razu.

— Nawet o tem, czy są piękne? — spytała rezolutna panna, spoglądając ze zdziwieniem na sąsiada.

— Ach, z tego nigdy nie sądziłem kobiety; na tem pozna się pierwszy lepszy, dla mnie to nigdy nie wystarczało. Patrzy pani z niedowierzaniem, które mi wcale nie pochlebia, ale któremu się nie dziwię.

Panna Ludwika pokręciła główką i zamilkła.

W tejsamej chwili dał się słyszeć rumor odsuwanych krzesel, rozmowy się przerwały, goście zaczęli wstawać od stołu i parami opuszczać salę, przechodząc przez długi szereg świetnie i zbyt kownie urządzonych apartamentów.

Obiad był skończony; kawę i likiery miano podać w salonie błękitnym, obwieszonym lustrami, obstawionym egzotycznymi roślinami, wyłożonym francuzkim kobiercem, błyszczącym od złocień na meblach, bronzów, kryształowych świeczników i kinkietów na ścianach. Istny salon milionera, nowiutki, świeży, przeladowany zbytkiem, jak pugilares jego — banknotami.

Gospodarz domu chodził z cygarami od gościa do gościa, i nie pytając, wtykał każdemu w rękę prawdziwe *havana* z miną małego monarchy, który rozdaje przywileje swoim lennikom. Nie mógł nic, nie zachwalał, ale spojrzenie jego i ów poufały traktament znaczyć miały:

— Palcie, takich specjalów nie dadzą wam byle gdzie.

Sliczny gabinet, wysłany cały od góry do dołu perskimi dywanami, nakształt namiotu szacha lub arabskiego szejka, służył panom za *fumoir*; niskie, szerokie sofy wzdłuż ścian dawały wygodny spoczynek nasyconym smakoszom; na małych stoliczkach inkrustowanych, stały tace z filiżankami czarnej kawy i likierem hollenderskim, brzuchaty japończyk z porcelany otwierał szerokie usta, czekając na popiół z papierosów palaczy.

W tulipanach z matowego szkła palił się gaz; u wejścia mały groom w czerwonej liberyi, nieruchomy, jak figurka z biscuit'u, czekał skinienia, aby z rąk gości odbierać wypróznione filiżanki lub podawać w misternych kubkach z zielonego szkła likiery wszelkich gatunków.

— Powinszować papie dzisiejszego obiadu — mówił Jerzbicki, rozpierając się *sans façon* na dużej ottomanie, do teścia stojącego przed nim z kieliszkiem koniaku w rękę.

— Sterlety smakowały ci? — pytał Fiszbaum, przymrużając jedno oko.

— Co tam sterlety; kapłona takiego z trufkami nie jadłem, wie papa od kiedy? — od mojego ślubu.

— Rzeczywiście papo, *menu* dzisiejsze było zachwycające, — wtrącił drugi zięć, składając w powietrzu delikatny pocałunek na lewym faworycie Fiszbauma. — *Tout était magnifique*; powinszować.

— A widzisz; niech nie mówią, że u twego te-

ścia zła kuchnia, mój baronie. *Veux tu une goutte de cognac?*

— *Non, merci*; ja mam dziś jeszcze bibkę w klubie.

— Jakto, nie zostaniesz u nas na herbacie?... nie jesteś ciekawy zobaczyć Smitha?

— Powrócę przed północą—zapewniał baron—nawet się z Henryettą nie żegnam. Gdyby chciała wcześniej odjechać do domu, powóz odeszł; ale wątpię, aby jej dzisiaj było śpieszno.

Jerzbiński rozpiął zlekka guzik u kamizelki, policzki mu poczerwieniały, biały gors u koszuli sfałdował się, najedzony był i senny; szeroką dłonią pokrywał ziewanie, nic sobie nie robiąc z reszty towarzystwa, ani z sąsiedztwa siwobrodego excellency, który z dystynkcyjną dworaka, trzymał w dwóch palcach kieliszek chartreusy i na krawędzi sofy przyczepiony, siedział obok, rozmawiając poangielsku z jegomością w ryżej peruce.

— Zróbże miejsce konsulowi,—szepnął zięciowi Fiszbaum, wskazując zlekka głową rudego dygnitarza. Jerzbiński niechętnie i leniwo poprawił się na sofie, i mruknął pod nosem:

— Będę się tam Niemcom ustępował..

Potem zaczął zaciągać się dużemi kłębami dymu, i przechyliwszy głowę na poduszki, wyrzucał z ust ku sufitowi okrągłe kule i obrączki, rozplywające się w powietrzu.

W zagłębieniu okna, osłoniętego ciężkimi portyerami stał Romuald, słuchając napozór z zajęciem opowiadań jakiegoś opasłego brzuchacza, który z rękoma w kieszeniach siedział na złocnym krzeselku, trzeszczącym pod jego ciężarem za każdym poruszeniem.

— To pan Smitha nie widział jeszcze?—mówił tłustoch stentorowym głosem bernardyna na kazałnicy—jakżeż można było!... powiadam panu, że to fenomen. Nauka prędzej dyabła zje, niż wytłómaczy jego experymenta. Zawijają mu oczy jaknajszczelniej, a ta szelma widzi wszystko, chodzi, biega, ani się potknie, ani potrąci i robi wszystko, co pan sobie pomyslisz. O tej szpilce pan słyszał?... także nie?... To, panie, nie do pojęcia. Schowają mu szpilkę gdzieś w dziesiątym pokoju za firanką, albo wepną w ścianę; on panie bierze swoje medium za rękę, ot jak ja pana w tej chwili, i jak wyżeł za kuropatwą węży, wietrzy, nosem tylko kręci i—znajduje szpilkę, z zawiązanymi oczami. To, panie, warto zobaczyć, jak pana szanuję. Ja już widziałem w moim życiu rozmaitych cudaków, spirytystów i magnetyzerów, Davenporta pamiętam, ale czegoś podobnego—świat nie widział. Cuda, powiadam panu!

— To Anglik podobno?—wtrącił Romuald, aby czemkolwiek przerwać tyradę swego towarzysza.

— Anglik czy Amerykanin, kat go wie; najpewniej z piekła rodem. Przekonasz się pan, bo go Fiszbaum zaprosił na dzisiejszy wieczór. Pułkownik Jooth—tu wskazał ręką na excellencyą z białą brodą—przrzekł go sprowadzić z pewnością, aby kilka swoich sztuk pokazał. Panie były ogromnie ciekawe poznać go bliżej. Która to godzina?... dziewiąta dochodzi, o dziesiątej będziemy go tu mieli, a tymczasem możnaby zrobić partyjkę winta. Pan grywa?... nie?... to szkoda. Z Jerzbińskim i konsulem wzięlibyśmy pana na czwartego. Słuchaj, Józiu, cóż my tak próżnować będziemy?...

Jerzbiński, któremu się już oczy kleiły po obiedzie, podniósł głowę, usłyszawszy swe imię.

— Czego chcesz?—spytał, nie zmieniając pozycji.

— Nie zagrałibyśmy?

— Można—odparł flegmatycznie—każ stół przygotować. Wint nam dobrze zrobi przed kolacją. Jesteś mi winien rewansz za wczorajsze wyluskanie.

— Cha, cha, cha!—wybuchnął brzuchacz—nibyś to mnie przedwczoraj na trzy zawroty nie zczesał.

— Złóż ja wam wszystkim skórę dzisiaj znowu, poczekaj!

W niebieskim salonie, jak egzotyczne kwiaty, rozmieściły się damy, przedstawiając uroczy widok.

Przy fortepianie siedziała pani Odoniecka i grała jakiś melancholijny romans Rubinsteina; do koła grupowały się słuchaczki, układając w my-

ślach najpiękniejszy komplement, jakim miały podziękować grającej po skończeniu i zdaje się, że je to więcej zajmowało, niż muzyka pełna poezji i uczucia, ulatująca w dźwiękach najpiękniejszego instrumentu, jaki z firmą Bechsteina wyszedł z jego fabryki.

W przejściu z salonu do budoaru, ukryta nieco za portyerą siedziała dama z pudrowanemi włosami i zaciągając się z cienkiego papierosa w malej misternej cygarnicy ze złota i bursztynu z uwagą fachowego recenzenta na koncercie, słuchała gry; ona jedna miała w tem całym gronie miłą znawczyni i prawdziwej miłośniczki muzyki.

— *Elle joue bien?*—szepnęła jej do ucha pani domu, nachylając się ku niej i poufale kładąc rękę na jej kolanach.

— *Oh, oui!*—brzmiała krótka odpowiedź z mrugnięciem oczu delfickiej wyroczni, za jaką widocznie w dziedzinie sztuki uchodziła.

— Co powiada panna Ernestyna?—spytała szepem o ile możliwości przyciszonym baronowa Krulle swej matki, nie dowierając własnemu sądowi o talencie grającej.

— Pst! nie przeszkadzaj—brzmiała odpowiedź, poparta wymownem przyciśnięciem wachlarza do ust, zalecającem córce nabożne milczenie.

Panna Ernestyna z szyldkretowej papierośnicy wyjęła świeżego papierosa i zastąpiła nim dogasający ogarek w cygarnicze. Zamknęła oczy i poruszając do taktu głową, zatopiła się całą w muzyce.

Fiszbaum na palcach podszedł do drzwi salonu, stanął, rękę przyłożył do ucha, jakgdyby łowił echo z oddali, usta otworzył i udając, że nie może poznać kompozycji, spytał Romualda półgłosem:

— To Szopen?

— Nie, to romans Rubinsteina.

— Ah, tak—Rubinstein, masz pan słusność—poprawił się milioner, który nie przypuszczał, aby można się czem innem, jak Szopenem popisywać w salonie.

— Hrabina ślicznie gra—dorzucił—wiesz pan, ona mi przypomina Essipową, albo Menter—o!... prawda?

— To pani Odoniecka jest hrabiną?—spytał Romuald, wymijając odpowiedź.

— Ma wszelkie prawa do tego tytułu po mężu, chociaż go nie używa; nieboszczyk Odoniecki, to był pan z panów. Pan może co słyszał o nim?... wielki magnat, cóż tego, kiedy mu się zmarło tak nagle, że nie miał czasu zawołać: Jezus, Maryja!... Wiesz pan,—apoplexya to człowiekowi awizacyi wpraw nie przysyła, tylko odrazu go zabiera na drugi świat. Hrabia był apoplektyk.

Uśmiechnął się ze swego dowcipu o awizacyi i wracając do roli troskliwego gospodarza, spytał:

— Pan już kawę miał?... może jeszcze likieru kieliszek?

Romuald skłonił się na podziękowanie i machinalnie postąpił ku salonowi, gdzie go pociągała rozmarzona jakąś szlachetną namiętnością gra młodej kobiety. Chciał się jej teraz lepiej przypatrzeć; zdawało mu się, że z nią rozmawia i w tej wymowie dźwięków starał się odgadnąć duszę nieznaną, o której dziś wieczorem nasłuchać się musiał tylu pochlebnych i zajmujących szczegółów.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WYSTAWA HYGIENICZNA

w Warszawie.

Sprawozdanie z działu wychowawczego.

Sprawiedliwość wyznacza, że w rzeczy wychowania społeczeństwo nasze nie jest tak ciemnym jak to doniedawna mniemano. Przecież się o tem mówi i pisze; czyż to nie dosyć? Co więcej: pomoce naukowe znajdowały nawet przytułek na wystawach warszawskich, jak, na przykład, na

Wystawie Rolniczo-Przemysłowej przed dwoma laty, w ostatniej XIII grupie, pomiędzy fortepianami, wachlarzami, organami kościelnymi i przyrządami do ratowania tonących, jak niemniej na przeszłorocznej Wystawie Sztuki w zastosowaniu do przemysłu, pomiędzy masą do sklejanego porcelany, a skrobaczkami do kartofli.

Już to przynależało, że owa XIII grupa pomocy naukowych zapeszłorocznej Wystawy takie zajmuje miejsce w klasyfikacji przedmiotów wystawowych, jak podgromada ssących-niedoskonałych w Zoologii, do których dostały się hurtem te zwierzęta, które dla braku odpowiednich kwalifikacji, w żadnej z poprzednich grup nie mogły znaleźć miejsca.

Podobny los zapowiadał się i na obecnej Wystawie Hygienicznej dla Działu Pedagogicznego; dzięki przecież szczęśliwie wymyślonej „hygienie mózgu”, znalazł pod jej protektoratem uprawnienie, czy też pretext na wystawie, dział wychowania umysłowego. Takim więc sposobem doczekaliśmy się przecież pierwszy raz tego, że obok działów: naukowego (z sekcją chemiczno-fizyczną i pasożytniczą), przemysłowego, budowlanego, szpitalnego i statystycznego stanął samodzielnie dział wychowawczy i w szczegółach organicznie został rozwinięty.

Zbytecznie nadmieniam, że szeroki programat tego działu zaledwie w części mógł być na wystawie rozwinięty.

Pięknie przedstawiał się ów programat w teorii: miał on objąć następujące pozycje: I) Hygienę niemowląt podzieloną na opiekę domową i opiekę społeczną nad niemowlętami. II) Hygienę dzieci i młodzieży mieszczącą w sobie: a) opiekę domową, b) opiekę społeczną, c) higienę pomieszczeń, d) higienę indywidualną. III) Konserwowanie sił fizycznych młodzieży, jak gimnastyka, szermierstwo, wioślarstwo, łucznictwo, konna jazda, pływanie i t. d.

Komitet pedagogiczny niemniej energicznie jak inne pracował nad swoim zadaniem. Pod prezydencją b. profesora Uniwersytetu p. Karola Jurkiewicza, odbywały się częste dość posiedzenia, na które zapraszano osoby, mogące radą, wpływami lub czynem zadanie sekcji ułatwić. Niektórzy reprezentanci zakładów wychowawczych publicznych, odrazu lub też po namyśle pewnym, cofnęli się od współdziałania w wystawie; takim sposobem z pierwotnego planu usunęły się: Szkoła Handlowa, ważny w swoim rodzaju zakład hrabianki Platerówny, zakład sierot chłopców imienia Jachowicza, a co najważniejsza, popularny Instytut Głuchoniemych i Ociemniałych, który, ze względu na humanitarny swój charakter, specjalność metod nauczania i pomocy naukowych, niewątpliwie byłby szersze koła publiczności zainteresował.

Takim sposobem wystawa działu pedagogicznego, mimo niezaprzeczone bogactwo w wielu szczegółach, nie obejmuje całkowitego wychowania i niezupełne daje pojęcie o istotnym stanie rzeczy, gdyż niektórych gałęzi wcale nie przedstawia. Nie rozumiemy, naprzykład, dlaczego żaden z zakładów wychowawczych żeńskich nie okazał robót kobiecych, którymi zwykle wystawy za granicą bywają zasypywane. Są to przecież rzeczy najlepiej nadające się na wystawę i właśnie najodpowiedniejsze na wystawę higieniczną. Czas już wielki zresztą, aby roboty kobiece w szkole weszły na drogę racjonalną, na metodę systematyczną. Może w tych właśnie robotach znalazłaby się choć cząstka złego, po którego usunięciu mniej-byśmy się potrzebowali skarżyć na upośledzenie zdrowia naszych córek dorastających, kończących edukacją, na zaniedbanie higieny szkolnej w ogóle, a w szczególności higieny oka, i na wynikającą ztąd krotkowzroczność młodzieży. Nie możemy przecież naprawdę robić zarzutów podobnych i żądać rzeczy z nich bardzo względów niemożliwych,—nie jest to przecież specjalna wystawa pedagogiczna; wypada nam raczej podziwiać energią a nawet ofiarnością członków sekcji, którzy na poczekaniu potrafili działać w licznych i różnorodnych okazach przedstawień.

Staraniem i wpływami p. Rycerskiego i ofiarnością kilku firm poważniejszych, powstał podług

jego planu budynek szkolny (szkoła dwuklassowa wzorowa), wewnątrz którego rzucimy obecnie ogólne spojrzenie, a następnie rozpatrywać się będziemy w szczegółach, dotyczących wychowania umysłowego, zostawiając dział wychowania fizycznego sprawozdawcy lekarzowi.

Przez jasny i widny przedsionek wchodzimy na kurytarz, a następnie do obszernej sali, szerokiemi oknami oświetlonej. Doznajemy nader przyjemnego wrażenia i wspomnień młodości i jesteśmy w szkole rzeczywistej, w klasie, przeniesionej tu żywcem z ulicy Hortensyi.

Na odpowiedniej estradzie spoczywa katedra— a obok niej łubkowa tablica szkolna; wewnątrz sali zapelniają ławki wzorowe: jedne z nich przeniesiono tu z tej szkoły p. Górskiego, inne wystawił Gostyński, inne bracia Geisler.

Znajdujemy tu też plany szczegółowe zakładu p. Górskiego, szereg fotografii, przedstawiających wewnątrz sal słynnej szkoły Monge w Paryżu, tudzież piękne widoki szkół krakowskich. Na ścianach wiszą liczne tablice poglądowe i mapy. Przy jednej ze ścian panna Weryho rozłożyła okazy do nauki rzeczy, jak niemniej liczny nader zbiór modeli i wyrobów dzieci, wykonanych w duchu freblowskim. Przy innej ścianie znajdujemy okazy niżej podpisanego członka sekcji, (a więc przedstawione poza konkursem), służące do poglądowego nauczania arytmetyki i geografii fizycznej, tudzież mapy dla ociemniałych nabijane różnorodnymi gwoździemi na deskach, jak niemniej przyrządy do pisania dla cierpiących na oczy, z których jeden jest ulepszony przez Dr. Wojciechowskiego z Kalisza.

Przechodzimy do drugiej sali szkolnej. Tutaj uderzają nas przedewszystkiem liczne okazy doktora Jasińskiego, dotyczące higieny niemowląt, ich żywienia, ubrania i gimnastyki, a także czepczki dziecięce i tablice wzrostu dzieci, wystawione przez Dr. Dudrewicza.

Naprzeciw okna stoi okazała szafa Szkoły Rzemiosł, mieszcząca w sobie piękne i dokładne wyroby, jak niemniej próby słojdów, wystawione przez dyrektora tejże szkoły Jerzego Kühna. Przy ścianach rozłożyli się wystawcy: firma Arzta z wydawnictwami pedagogicznymi, firmy: Müllera, Szyllera i Wiśniakowskiego z zabawkami i grammi pedagogicznymi, Krasnodębski z zabawkami, Grodziński z modelami machin, tudzież Wejsenhof z ubiorami dziecięcymi.

W budynku tym mamy jeszcze: dwa pokoje nauczycielskie, dwie kuchnie, dwie szatnie i... ale o tem ostatniem napisze higienista. W jednym pokoju nauczycielskim mieści się biblioteka, w drugim firma Mateckiego i Obrębowicza z kaloryferami, wentylatorami i t. p. W jednej kuchni rozłożył zreczenie swoje wyroby Gostyński, w drugiej zaś znajdujemy urządzenie infirmeryi i sypialni w pensyonacie, przedstawione przez Górskiego. W jednej szatni pomieszczono przybory wiosłarstwa, fechtunku, gimnastyki, i jazdy welocypedowej, w drugiej zaś rozłożyły się w szczególności Kolonia dla nieletnich przestępców w Studzieńcu, tudzież niektóre okazy dotyczące opieki nad niemowlętami i sierotami.

Przy budynku szkolnym znajdujemy okazałą drabinę gimnastyczną, ulepszoną przez Olszewskiego. Na obszernym placu rozstawił Majewski przyrządy gimnastyczne, gdzie odbywają się ćwiczenia tudzież zabawy dzieci. Jest jeszcze plac zabaw na otwartem powietrzu: tutaj firma Krasnodębskiego zajęła się urządzeniem i ustawieniem przyborów do mało znanych lub wcale nieznanymi u nas gier francuzkich i angielskich. Dodać tu jeszcze musimy, że do działu wychowawczego liczy się pawilon Dra Maczewskiego, przy ulicy Hipokratesa, mieszczący dwa cielątka; pośpieszamy przecież zapewnić, że cielątka te mają tylko pośredni związek z wychowaniem, gdyż idzie tu tylko o ospę krowiankę.

Rozpatrzeniem przedmiotów wystawionych, jak również przyznaniem wystawcom dyplomów uznania i listów pochwalnych zajmują się pilnie *juries* (sądy biegłych). Nie od rzeczy będzie nadmienić, że do grona sędziów w dziale pedagogicznym, oprócz kilku osób z zarządu i z sekcji na exper-

tów zaproszeni zostali zzewnątrz p.p. Dygański, Dr. Markiewicz, Słosarski.

Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 31 Maja 1887 r.

Maj i skargi na niego. — Gudza bieda łagodzi własne cierpienia. — Kataklizmy i powszechna bieda. — Spalenie się Opery Komicznej w Paryżu. — Czyja wina? — Poseł Steenackers i minister Berthélot. — Proroctwa urzędowe. — Przebieg wypadku i fiziognomia bulwarów. — Odwrotna strona. — Wystawy na Polach Elizejskich. — Wystawa kwiatów; rajski przepych. — Wystawa Sztuk Pięknych. — Wielkie rozczerowanie co do Francji. — Artysty polscy. — Pocieszające zjawisko. — Panna Bilińska znakomita jej portret własny. — Nagroda w medalu. — Wystawa poświęcona obrazów Millet'a. — Jak należy sądzić tutejsze reklamy. — Upadek ministerium Goblet'a i dziwne zmiany. — Polityka i fantazyja. — Pamiątki księcia Adama Czartoryskiego.

Już chciałem się rozwodzić długo i szeroko nad okropnym stanem atmosfery, już miałem śpiewać żałobne treny nad Majem, którego wiekowa reputacya tak okrutnie skompromittowaną została w tym roku, bo cały ten poetyczny wdzięk, wraz z majówkami i całym rynsztunkiem zieleni i kwiatów, słońca, ciepła i zapachu, odesłany został do starej baśni i zapisany ostatecznie pod tą rubryką, w której zagłówek dzisiejsi Francuzi, piszą swoje ulubione wyrażenie *Vieux jeu...* Ale musiałem się zatrzymać nagle, bo znalazły się rzeczy dotkliwsze nad nasze majowe przy-mrozki, smutniejsze nad zimne i ulewne deszcze, boleśniejsze nad słońce w osłonie szarej... Najpierw ta burza gradowa, która nawiedziła Warszawę i której tak pełne jeszcze trwogi i grozy echo przyniosły nam wasze dzienniki i listy!... Nawiedził was stary Perun i przypomniał, że choć go topiono niegdyś w Wiśle, trzyma on jeszcze górne przestwory i nie złożył bynajmniej starego, ognistego berła, pod którym niegdyś świat trzymał...

Biedna ta Ludzkość! Tam na południu trzęsienie ziemi. Tu, u nas fenomena meteorologiczne najdziwniejsze, zupełny przewrót w klimacie... U was kataklizmy niebieskie i ziemskie. Nie będziemy więc ani tak pyszni, ani tak pewni siebie, kiedy nie możemy, niestety, być pewnymi nawet jutra.

Paryż poniósł ciężką klęskę. Tam, gdzie przed chwilą roilo się światłem, wdziękiem, radością, teraz zapanowało zniszczenie, śmierć, a na to dosyć było jednej chwili! Wiecie już z telegramów i dzienników o pożarze Opery Komicznej. Niestety, trzykroć niestety! *Komiczność* ta skończyła się straszną, okropną klęską i przeszła w najboleśniejszą tragedya.

Wypadek, jak wiadomo, zdarzył się w ostatnią Środę dnia 25 Maja. Okoliczności, które go poprzedziły, nadają mu tak dziwną, tak niesłychaną miarę, że umysł strwożony cofa się przed tem złowieszczem widmem. Do chwili, w której to piszę, nieskończono jeszcze smutnej pracy odgrzebywania ciał ludzkich ze zgliszczów, czy ciał? — nie, spalonych spieczonych szczątków ciał ludzkich. Urzędownie dotąd rozgłaszane wiadomości podają liczbę ofiar katastrofy do 80 osób. Ale mniemanie powszechne widzi w tem dobrą i zacną chęć nieprzerażania do ostatka przejętej zgrozą i strachem publiczności i liczbę ofiar posuwa do *minimum dwóchset osób!* Nie chcę tu kłaść zbytecznego nacisku, na tę różnicę straszną, ale rzecz jest pewna, że urzędowa wiadomość daje tylko *minimum* rzeczywistej klęski.

Wszystko zresztą w tej katastrofie jest tajemnicze i dziwne; powiedzmy zaraz, że początek, że przyczyna tego pożaru, jest niewiadoma. Ogień wybuchnął naraz w górnych częściach dekoracyi, ponad sceną i tuż przy wielkiej kurtynie, tam właśnie, gdzie oświetlenie jest najmniejsze i gdzie najmniej znajduje się materiałów łatwo zapalnych. Jest to pierwsza zagadka i ta zapewne nigdy nierozwiązaną nie będzie.

Następnie uderzają tu umysł okoliczności poprzednie, zewnętrzne i niemające na pozór żadnego związku z samą katastrofą.

Oto kilkanaście dni temu (d. 12 Maja) w Izbie poselskiej, w czasie rozpraw nad kwestyą budżetu, które miały się skończyć upadkiem ministerium Gobleta, poseł Steenackers, deputowany z departamentu Haute Marne, ni ztąd, ni zowąd, rozwinął z mównicy cały szereg najsmutniejszych przepowiedni o losach, jakie czekają w niedługim czasie teatr Opery Komicznej, widzów i aktorów zarazem. Wykazawszy dobitnie i jasno złe i wadliwe urządzenie tego teatru, co do środków bezpieczeństwa, wraze pożaru (opisał to z wielką znajomością wnętrza i rozporządzeń tego gmachu) dowiódł, że nieszczęśliwi artyści *szczególne* są jakby przeznaczeni naprzód na stracenie — i zapytował ministra: czy nie myśli, iż należałoby przedsięwziąć prędkie i skuteczne środki, dla zapobieżenia możliwej i blizkiej strasznej katastrofie?

Minister oświecenia Berthélot, sławny chemik, odpowiadając na to *dictum acerbum*, wyznał otwarcie, że obraz skreślony przez posła, był prawdziwym od A do Z; że on minister, jest przekonany, iż się ten teatr spali niechybnie, — ale ponieważ jedynym środkiem zapobieżenia złemu jest rozszerzenie i przebudowanie gmachu, a ten znajduje się przy samym prawie Bulwarze Włoskim, jednem z najulubieńszych miejsc Paryża, więc tego rodzaju przedsięwzięcie pociągnęłoby za sobą kosztą przenoszące kilka milionów, a zatem należy się pierwej dobrze namyślić, nim się przystąpi do dzieła. Tymczasem dano polecenie, wydano instrukcyje i t. d.

Owóz cała ta rozprawa, która poprzedziła straszną klęskę o trzynastu dni tylko, z taką precyzją, jasnością i szczegółami, wytlómaczyła prawdziwy stan miejscowy, niebezpieczeństwo i jego następstwa, że była to w pewien sposób jakby praktyczna skazówka, co do środka najprędszego i najdoskonalszego spalania tego teatru.

W czasach, w których żyjemy, z rozprzeżeniem wszelkich zasad moralnych, z wyrugowaniem zupełnem odpowiedzialności z prawa etyki, z niezmiernem rozpowszechnieniem, zapomocą dzienników, wszystkiego, co jest złe i dobre, a więcej złe, niż dobre, — trzeba, nie siedm razy, ale siedm-dziesiąt siedm obrócić język w gębie, zanim się słowo rzeknie, bo niewiadomo w jakie ucho wypadnie i jaki plon wydać może... Kto wie, czy nie było w tym wypadku występnej dłoni? I czy osobista nienawiść, lub zemsta, nie uzbroiła czyjejś ręki, w rzecz tak bląhą zresztą, jak jedna tylko zapalka, choćby nawet przez kompanią posiadającą monopol, wyrobiona. Wiemy przecie, do jakich to często ostateczności posuwa niektóre indywidua, za kulisami zawiść. Nie podaję tego za rzecz pewną, ale jako wierny kronikarz powtarzam zasłyszane głosy!...

Grano wieczorem d. 25-go Maja *Mignon* Ambrożego Thomas'a; teatr był szczelnie nabity. Zegar wskazywał 10 minut do dziewiątej, kurtyna się podniosła po antrakcie, poprzedzającej maleńkiej sztuki „Chalet;“ wszyscy aktorowie byli na widowni. Pierwsze sceny *Mignon*, jak wiadomo, zaczynają się tańcem baletu i chórem śpiewaków. Nagle jeden z artystów, p. Soulacroix, spostrzega ogień w górnych dekoracyach. Jedna z tych poprzecznic (nazwanych tu „horses“) na których przytwierdzone są, gazowe przewody, zaczęła się palić. Artysta nie namyślał się i zeszedł ze sceny, pociągając za sobą pannę Merguiller. Tymczasem tenor Tasquin, chcąc uspokoić publiczność, która widzi już padające na scenę iskry: „To nic... to nic — odzywa się do parteru! Bądźcie spokojni...“ Ale ledwie te słowa skończył — ruch niezmierny powstaje w teatrze i odrazu płomień zaczyna buchać na scenę; w kwadrans później cały teatr już stał w płomieniach i strasliwa katastrofa spełniała się wewnątrz. O godzinie jedenastej, zapadła się kopuła. Dzieło zniszczenia spełnione — reszta dopełni się wśród zwalisk i gruzów.

W oka mgnieniu na całej długości tak zwanego „Boulevard des Italiens“ zjawiły się tłumy ludu; kto się raz wcisnął, ruszyć się już nie mógł do dwunastej lub pierwszej. Taki los spotkał

właśnie p. Jana Kraszewskiego, syna wielkiego powieściopisarza; wracał on po godzinie 9-tej od doktora Gałęzowskiego—kiedy dostawszy się na bulwar, ujrzał w ogniu operę; ściśnięty wśród tłumu musiał tu pozostać do wpół do pierwszej zrana.

Opowiadać o tem byłoby rzeczą prózną: wśród takiej katastrofy naoczni świadkowie tracą głowy i nic nie widzą. Trzeba to więc zapisać i zamknąć w głównych zarysach, a resztę zostawić czytelnikowi, aby ją sam sobie w duszy dośpiewał. Co się mogło dziać w ciemności—bo gaz, szczęściem, zgaszono!—na tych ciasnych schodach, gdzie ten tłum się tłoczył, wściekły, opętany z przestachu, ścieląc sobie drogę po słabszych, po trupach—może po drogich sobie... Groza przejmuję na myśl tych okropności.

Dziś, jak mówiłem — grzebią się w tych gruzach; każde prawie uderzenie motyki odkrywa jakąś, krwawą, tragiczną kartę — *Opery komicznej!* Składki się sypią zewsząd. Ale kto i czem zastąpi te urwane nici żywota—wśród tej katastrofy!

Ale odejźmy od tych miejsc żałoby; zakryjmy śpiesznie kartkę tragiczną. Chodźmy na Pola Elizejskie — nie na owe, niestety, gdzie poszły duchy spalonych w tej straszliwej otehlani—ale na owe sławne paryżkie Pola Elizejskie. Tu i słońce świeci wspaniale, i drzewa w całym rozwoju liścia zwiastują nam Maj prawdziwy i roi się tu ludem wesółym, szczęśliwym—jakgdyby się nie stało! Świat ten, zawsze tensam, i toż samo niebo — i słońce tożsamo. A czemużby ludzie zmieniać się mieli?

(Dokończenie nastąpi).

DRAMATA KONKURSOWE.

II.

II. *Agrypina* (Neron), dramat historyczny, w 5-ciu aktach z prologiem przez *Józefa Lebuńskiego*; III. *Domna Rozanda*, dramat historyczny w pięciu aktach przez *Zenobiusza Drakuli* (pseudonym); IV. *Albert*, wójt krakowski, tragedia w 10 obrazach wierszem *Stanisława Kozłowskiego*, uwieczona pierwszą nagrodą (wydana nakładem funduszu konkursowego wraz z życiorysem *Wojciecha Bogusławskiego*, przez *Władysława Bogusławskiego*; Warszawa, 1887).

(Dalszy ciąg).

Muza p. Kozłowskiego, wdzięcząc się do Niemców, obdarzała uśmiechami także i Łokietka, ale ostatecznie zdradziła go dla Alberta i jego syna. Wójta chciał p. Kozłowski uczynić wielkim przez polityczne marzenia, Hansa wspaniałym przez ludzkie cierpienie, rozum i niepodległość charakteru od Łokietka dwa razy tylko zawiewa tchnienie jego rzeczywistego dziejowego życia, a poza tem jest on albo przesadzony, albo zimny i czerzy, albo nawet śmieszny (str. 33, 98, zwłaszcza 99; „Ręczę ci za to“; 165, 166, 209 i 210). Najlepszą myśl króla odrodziciela przynosi w sobie, nie ów pretensjonalny okrzyk w rozmowie z Albertem wyrzucony: „Słowiańszczyzny katy“, ale ten czworowiersz późniejszego monologu (str. 100).

Gojących rządów mych troski codzienne
Zrodziły we mnie jeden przymiot rzadki:
Uczucie jakieś święte i płomiennie —
Jasnowiedzenie kochającej matki.

Szkoda tylko, że przedtem już Janko daleko więcej o nim powiedział na str. 26 w tym samym duchu; szkoda jeszcze, że Łokietek sam siebie chwali, nazywając jasnowiedzenie takie „przymiote rzadkim“. Przymiotu tego jednak wcale nie dowiódł był przed chwilą, kiedy nazywał zdrającą człowiekiem „szlachetnym i prawym“ (str. 99). Daleko lepsze miał jasnowiedzenie, kiedy na początku rozmowy (str. 88), wyrzucał mu obłudę łamiącą przysięgi i dawał mu właściwe miano

starego lisa, — „który mądre zwodzi harty, *fortelów drogą*“—jakgdyby była inna jaka droga! Niewiadomo, w którego Łokietka mamy wierzyć: czy w owego z początku, czy w tego tu z końca? Jeżeli to jest affekt, to niedoleżny, nie-królewski; jeżeli słabość umysłu, to nie prawdziwa. Całe mocowanie się z Krzyżakami, którzy po dwudziestu kilku latach nareszcie pod Płowcami otrzymali karę za wszystkie dawne swe grzechy i za czyny dotykające już samego Łokietka—jak zbuntowanie Święców i wydarcie Gdańska—przynosi dowody wielkiej trzeźwości, niepodległości rozumu i sądu wobec doraźnych objawów, wrażeń i popędów. To „jasnowiedzenie kochającej matki“, które p. Kozłowski bardzo pięknie przyznał Łokietkowi, byłoby niemożliwym przy tak niestałym charakterze, czy temperamencie, jakim go napelniał.

Drugą piękną i prawdziwą chwilę ma Łokietek na str. 180, kiedy błaga Boga, aby go nie potępił za srogość.

Boże, ty patrzysz z wiecznego błękitu,
Widzisz kał ziemi i serc ludzkich męty.
Ty mi przebaczysz, bo dla dobra ludu
Robię tygrysa z siebie i lamparta;
Dla niego żywot wiodę, pełen trudu:
A ta ojczyzna mej miłości warta!
Patrz, Panie, Niemiec wstał nakształt poczwary,
Do Twojej wiernej wilk skrada się trzody,
Wróg ogień nieci. By gasić pożary,
Krwi mi potrzeba, Panie, a nie wody!
Obnaż mnie, Boże, z tej okropnej maski
I strój katowski zdejm ze mnie piekielny;
Łaski twej błagam, Panie, łaski, łaski
I zmiłowania, Boże nieśmiertelny!

Mógł się istotnie tak modlić człowiek średnio-wieczny i król zbierający napowrót rozszarpane państwo bolesławowskie, gdy mu obcy czy swojski żywioł stawał na drodze do zaprowadzenia jednolitej potęgi. Wyraz „ojczyzna“ w ustach Łokietkowych i w całym ośrodku rzeczywistości, w jakim się samowiedza i wola jego znalazła, jest rzetelnym, niesfałszowanym; nie tak, jak te wszystkie „narody“ i „ojczyzny“ Albertów, Sudekmanów, Pezoldów, Ratiborów i t. d. Kto wie, czem byli Niemcy na początku XIV w.,—ten nie tylko takich Albertów tworzyć się nie odważy, ale i takich ojczyzn w serca im nie włoży, ani na bruku krakowskim, ani też na własnych ich śmieciach. Szczytem tych anachronizmów pojęciowych jest „łańcuch jedności niemieckiej“, którym Albert, wójt krakowski, chce opasać Germanów (str. 124). Pojęcie ojczyzny niemieckiej w XIV wieku wcale nie istniało: nie było mózgu, któryby je mógł w sobie zmieścić. I dlatego wielkie słowa wszystkich tych Niemców, których ojcem jest p. Bobrzyński a matką fantazja pana Kozłowskiego, sprawiają na każdym dojrzałym umyśle wrażenie—zabawek dziecińczych. Ów Bóg Germanii, w modlitwie Alberta mający rzucić Polskę pod nogi Niemców krakowskich (str. 146), jest wręcz komicznym. Złe staje się głębszem jeszcze przez to, że p. Kozłowski nieskończenie większym ogniem patryotycznym natchnął Niemców, niż Polaków w jednym i temsamem dążeniu do posiadania ziemi, którą pierwsi posiadali już jako jej prawi właściciele. Niech tylko autor porówna na zimno słowa jednych i drugich.

Jak pojęcie ojczyzny niemieckiej, tak pojęcie „Słowiańszczyzny“, wprowadzone przez p. Kozłowskiego do umysłu Łokietka na początku XIV w., jest absolutnym złudzeniem. Przez późniejszego pogromcę Krzyżaków przemawia człowiek nowożytny—p. Kozłowski. Zawzięcie się Łokietka na śmierć biskupa (str. 179), jest równie nie historyczne, jak sama ta śmierć. Dlaczego „biskup powinien umrzeć z uduszenia“—jeżeli rozkaz ten Łokietek jawnie przy rycerstwie swoim wydaje? Czy przytem zastanowił się p. Kozłowski nad doniosłością czynu? Nie. Jego sumienie historyczne ani drgnęło. Udusić kogoś, kto potem żył jeszcze przez dziewięć lat—to

fraszka; ale kazać królowi dusić biskupa i nie zapytać się: jakieby też musiało być następstwo historyczne takiej zemsty?—to już wręcz lekko-myślność. Dla sztuki prawdziwym może być tylko to, co jest prawdopodobnem. Co się naturze zewnętrznej, istocie ducha czyli psychologii, lub historii sprzeciwia, to istnieć nie może w sztuce. Poeta ma wielką swobodę w wypełnianiu tych próżni i wysnuwaniu tych wątków, jakie mu podaje historia; może swobodnie dorabiać nowe postacie, nowe przygody, nowe czyny i pobudki czynów: ale z tej swobody nie może korzystać jak orzeł szybujący w przestworach; musi kark nagiąć i przejść pod jarzmem historii. Niczego fałszować mu nie wolno, co już jest prawdą, a do wielkich dziejów należy. Gdy idzie o postacie i wypadki podrzędne, może okupić fałsz wielką poetycznością, ale pierwszorzędnym tykać mu—wara!

Łokietek jest całkiem niepotrzebnie okrutnikiem, gdy urządza rzeź w mieście, w którym mu się nie bronii i gdy chce tę rzeź mieć aż do świtu, choć mu głównych sprawców już przyprowadzono i nóż mógłby już rzezać tylko prostych pacholców lub całkiem niewinnych. Są rzezie, które robią się na rozkazy—takich popisów siły wiele widział i nasza historia; ale żeby ktoś w mieście własnem, o którym wiedział, że prócz Niemców ma w sobie i ludność polską, chciał wyprawiać rzeź, aż do świtu—i do tej rzezi on, król, on Łokietek, dodawał jeszcze miód i Niemkę młodą—na to już potrzeba szczególniejszego lubownictwa. Przy tym Łokietku przyświecał p. Kozłowskiemu Lech Słowackiego, ale jako wytwór poezyi złe zrozumiany. Autora uderzyło zaznaczenie w Roczniku Biblioteki Krasińskich, iż mordowano każdego, kto nie umiał wymówić „soczewica, koło, miele, młyn“—i pomordował też literalnie wszystkich; tak, że dziwić się potrzeba: z kąd w dalszych latach *Ksiąg najstarszych* spotykamy znowu tesame imiona i nazwiska, które nas zajmowały poprzednio, i z kąd w dramacie samym wzięli się jeszcze mieszczanie ukrywający wśród siebie zdrajców „co niemiara“? Żadne błagania, zaklęcia, jęki nie pomagają: Łokietek przyrzekł p. Kozłowskiemu, że będzie mordował aż do świtu, i chcąc dotrzymać słowa, niczem wzruszyć się nie daje. Czyby autorowi chodziło o efekt słonka wschodzącego nad stósmi trupów? Pewniejsze jednak będzie przypuszczenie, że p. Kozłowski sam nie wiedział czego ma chcieć i własnymi usty dmuchał na to, co zbudował był własną ręką. Mieszczanie odprawieni z niczem mają „przeżyć tę noc straszliwą w trwodze“. Niczego lepszego nie pragnęli ci biedacy, tylko, żeby się dla nich wszystko na trwodze jedynie skończyło. Lecz w takim razie jeśli mieszczan miała dotknąć tylko trwoga—kogo dotknęła rzeź? Biedny lud roboczy? To znowu *cui bono*? Chyba dla prostego amatorstwa. Można zrozumieć szal pierwszej chwili, ale systematyczność ohydna a zbyteczna nie może się jakoś w głowie pomieścić. Łza kręci się Łokietkowi w oku na samo opowiadanie śmierci Hansa; (str. 176), ale przedtem już wzbuchło z niego bestyalne obruceniestwo w słowach, które w najtragiczniejszej nawet tragedii sprawić-by mogły tylko wrażenie wstrętu (str. 100 u góry). Ma przytem książę krakowski oryginalną pretensją do Boga: woła: „A ty mnie za to nie karz, Boże prawy!“ Tę, jakby rozmyślną, obłudę wtlacza p. Kozłowski w Łokietka także i w samym zakończeniu dramatu. Kiedy już pohlął aż do świtu i ma tryumfalnie objechać miasto, na okrzyki odpowiada pokornie: „Sługa Świętej Panny.“ Przypomina to „Cudowne widmo w obręczy z płomyków“ Lecha, ale w *Lilli* jest prawdziwym i charakterystycznym, tutaj zaś uczepliło się danego charakteru najniestosowniej, bez żadnego ładu i składu. Ni z tego ni z owego wyskoczył nagle motyw religijny polityki Łokietkowej, którego nie było przez cały ciąg dramatu.

(Dokończenie nastąpi).

List z Rzymu.

(Dokończenie.)

Wrażen i wzruszeń było tyle, że brakowało czasu, aby uporządkować je sobie i rozliczyć się z niemi—odpocząć. Nastąpiły z kolei wyścigi konne, regaty na Arno w pysznych łodziach, otwierały się rozmaite kongresy, aż nadeszły dwie wielkie uroczystości dziejowe. Dnia 11 Maja nastąpiło na Placu Katedry odsłonięcie posągu znakomitego florenckiego rzeźbiarza z XV wieku, Donatello, a właściciel Donato di Nicolo di Betto Bardi. Talent potężny, więcej realistycznej, niż idealnej natury, taką żywotnością przenikał rzeźbiony przez siebie marmur, że istnieje podanie, jakoby sam ulegając raz złudzeniu życia w postaci, którą z kamienia wykuł, miał zawołać:—Mówże!... czemu nie mówisz? Stać się to miało z posągiem Dawida, który zdobi wschodnią stronę tej cudownej dzwonnicy, zbudowanej przez Giotto, która stanowi jedną z artystycznych chwał Florencji. Lud florencki nazywa ów posąg: „Il Zuccone”—lisy, i daje mu dotąd miejsce w poezji swojej tych różnych obchodów obrzędowych, których Włochy mają mnóstwo, co świadczy, że uderzył on wyobraźnię ludową, jak jakaś istota żywa.

Nietylko na umysły proste oddziaływały tak rzeźby Donatella. Do najznakomitszych jego dzieł z peryodu pierwszej i najpełniejszej jego twórczości, należą trzy posągi wykonane dla cechów florenckich: św. Marcina, św. Piotra, św. Jerzego. Otóż św. Marcin potęgą siły swojej tak miał uderzyć Michała Anioła, że w uniesieniu zawołał:—Nic dziwnego, że poganie nawracali się do Ewangelii, jeżeli ją głosili tacy ludzie, jak ten oto...

S-ty Jerzy, wykonany dla cechu płatnerzy, wywoływał podobne zachwyty wszystkich znawców i po wszystkie czasy, ale nie sama siła i pełność życia stanowiły artystyczne przymioty dzieł Donatello. Popiersie św. Cecylii w płaskorzeźbie, z prześliczną, ku piersiom schyloną głową, czaruje najdelikatniejszym wyrazem tklivosti i łagodnego wdzięku. Donatello, tak, jak Michał Anioł, dożył sędziwej starości. Urodzony we Florencji 1386 r., umarł 1468, obok przyjaciela i protektora swego, Kuźmy Medyceusza.

Obok Lorenza Ghibertiego Donatello liczy się do najpierwszych twórców wielkiego stylu rzeźbiarstwa florenckiego.

Wystawa dzieł i pamiątek jego w *Museo Nazionale* została otwarta tegosamego dnia 11 Maja, w obecności obojga królestwa, a zaraz następnie orszak zwrócił się do kościoła San Lorenzo, gdzie położono kamień węgielny pod budowę pomnika, jaki mu tam wzniosą. Mieć będzie i drugi, w przynależnym sobie miejscu, w Santa Croce, którego model zaraz wkrótce, bo 17 Maja, został tam ustawiony.

Jeżeli, jak opiewa legenda, umarli prędko jadą, to i zmartwychstali śpieszą się żyć, bo zaraz nazajutrz nastąpiła wspaniała i ze wszystkich tych majowych uroczystości włoskich najważniejsza, najwyższego znaczenia: odsłonięcie fasady katedralnego kościoła pod wezwaniem Najświętszej Panny Kwietnej: „Santa Maria del Fiore.” Gorąca cześć ludu Florenckiego dla Matki Chrystusowej i lilie, godła czystości, znajdujące się w herbie miasta, złożyły się na tę poetyczną nazwę kościoła, którego węgielny kamień był w 1298 r. położony przez legata papieżkiego, Latino Orsini, a który do dni naszych nie został skończonym—nie miał fasady! Chciano niebywałego arcydzieła i duma najwynioślejszej na świecie arystokracji mieszczkańskiej, Signori i florenckiej, zapragnęła, jak opiewa akt erekcyjny, aby było ono: „najwyższej i najszlachetniejszej wspaniałości—takie, aby ani sztuka, ani żadna moc ludzka nie mogła.” Ale, jakgdyby za karę tej pychy, jakieś zaklęcie losu zawisło nad tem dziełem,

które rodzić się miało przez sześć wieków. Pierwszy architekt, któremu powierzono budowę świątyni florenckiej, Arnolfo di Gambio, nakreślił też pierwszy plan tej fasady, wraz z planem kościoła, ale nie starczyło mu życia na wykonanie go, i gdy w 1334 r. Giotto, najgieniałniejszy sztukmistrz włoski Wieków Srednich, został budowniczym rozpoczętego kościoła, plan poprzednika, co do fasady odrzucił, uważając go za zbyt prosty, nieodpowiadający temu, co było myślą fundatorów. Nakreślił też inny, według którego już pracę budowy rozpoczęto przy pomocy zawezwanych najpierwszych mistrzów, o jakich wiedziano, że istnieją, gdy w 1336 r., Giotto umiera; a w biegu czasu dzikie uczucie zazdrości niszczy niedokonane arcydzieło. Wypadki polityczne wicherzą też *Miastem Kwiatów*; myśl o ideale bezwzględnie piękna usuwa się z myśli ludzi, których interessa i namiętności życiowe pociągają w inną stronę, gdy tymczasem piękno, mniej obwarunkowane, przychodzi drogą naturalną, powstałe z wolnego natchnienia twórczego ducha—Oragna Brunelleschi wykończy w 1434 r., budowę samego kościoła. Jego pyszna, obrzymia kopuła budzi zachwyty i zostaje uznana za dzieło nieśmiertelnie piękne, które go czyni twórcą włoskiego Renesansu w architekturze i daje mu w niem miejsce pierwsze. W rok potem, d. 25 Marca, który według ówczesnego rachunku czasu był dla Florencji dniem Nowego Roku, Papież Eugeniusz IV poświęca katedrę florencką, której przecież brakni jeszcze fasady!...

Lata tak upływają. W r. 1515 Jakób Sansovino wznosi, Andrzej del Sarto pędzłem swym zdobi fasadę tymczasową, drewnianą, zbudowaną okolicznościowo na przybycie do miasta Medyceuszów księcia i papieża, Leona X. Papież ten uważa improwizowaną fasadę za dostatecznie piękną, głos ogółu potwierdza to i żąda od Rady Miejskiej, aby zostało utrwalone w marmurze to, co w drewnie przedstawia się szlachetnym i wdzięcznym, ale dumna signoria florencka nie poddaje się jeszcze. Ponawiają się konkursy—nadaremne! Mistrz zdolny odpowiedzieć zadaniu nie zjawia się i w XVII wieku dwukrotnie ratowano się tymczasową fasadą drewnianą, aż w końcu, wraz z upadkiem wielkości Włoch, z upadkiem tego ducha, co tę wielkość tworzył i o dosięgnięciu najwyższych szczytów marzyć kazał, nad niestworzonym arcydziełem zapada zasłona ciemności. Florencja pisze sobie atest ubóstwa i nagi front świątyni zostaje pomalowany według wskazania Ercole Graziani.

I słońce włoskie zachodzi. Italia, która się stała *nazwą geograficzną*, jest jak *Noc Michała Anioła*, i mówi gieniuszowi natchnień artystycznych:—„Nie czuć—wielkim dla mnie szczęściem... Nie budź mnie zatem, proszę cię...” Ale niema dla żadnego żywego organizmu nocy nieprzespanej, wieczne, a nigdy niezmiennione tęsknoty i pragnienia ludzkie targają sercami i budzą, aż Włochy odrodzone stają się znowu narodem i wracają im dawne natchnienia i porowy. Jak człowiek, który wstawszy porankiem, zabiera się do roboty, przerwanej wieczorem, tak Naród Włoski obejrzał się za niedokończonym dziełem przeszłości i posynowsku dźwignął się, aby go dokonać. Jest podanie, jakoby wykończenie katedry florenckiej stało się w skutek ślubu Wiktora Emmanuela, uczynionego, gdy modlił się tam po wzruszającym przyjęciu go przez lud florencki, który nogi konia jego całował. W każdym razie myśl wyszła od niego, lecz podniesioną została przez Naród Włoski w sposób wzruszający.

Tyle się dziś pisze i mówi o wystudzeniu uczucia w stuleciu naszym, o jego materializmie; kto przecież, chory na żal po uszłych jakoby zpośród ludzi ideałach miłości i wierzeń świętych, chce sobie bolące serce pocieszyć, niech się zapozna szczegółowo z historją wzniesienia fasady katedry florenckiej. Konkurs, rozpisany w 1867 r., zgromadził 40 planów, wśród których zwyciężył rysunek Emila de Fabris, architekta. Trzymany w stylu włoskiego renesansu, więc harmonizujący z całością budowy, okazał się i bezwzględnie pięknym wyższą, szlachetną pięknnością, jemu zatem

przyznano palmę pierwszeństwa i powierzono roboty. O fundusze na ich kosztą odwołano się do narodu, który złożył bardzo szybko sposobem składek—dziesięć milionów lirów, bo tyle wykazywał kosztorys.

Ale stała się w kosztach tych oszczędność najpierwsza w tej pozycji, że de Fabris pensyi żadnej, żadnego wynagrodzenia nie przyjął: chciał pracować dla ojczyzny, jak syn dla matki—darmo...

Właściciele łomów marmuru w Carrara, tak samo oddawali je bez pieniędzy. Bez pieniędzy stanęli do pracy toskańscy mistrze pędzla i dłuta. Podzielono między sobą wykonanie posągów, płaskorzeźb, mozaik, za które nikt nie chciał nikt nie przyjmował. Taksamo postąpili rzemieślnicy, prosty lud wiejski do pomocy w pracach ciężkich potrzebny—żadna ręka nie wyciągnęła się po zapłatę, cofała się nawet dumnie, gdy jej dawać ją chciano.

A ciągnęło się tolat 20. Jak gdyby urok rzucony na to dzieło trwał jeszcze, de Fabris umiera przed jego końcem, ale duch, którego tchnął w kamienie i ludzi, już nie uchodzi. Następca jego, Aloizy del More, inżynier, także nie przyjmuje nie—służy Bogu i ojczyźnie, pobierając za to nagrodę tę najwyższą, że służba ta jest mu dozwołaną, że wypełniać ją może. Jak niegdyś marniano za Italią na Spielbergu, jak niegdyś lano za nią krew na polach walk nieszczęśliwych, tak dawano jej teraz swój znój, swoje trudy. Lud wiejski przyciągał kompaniami z okolic dalszych, szli z chorągiewkami, z pieśniami na ustach, prowadzili za sobą pociągi: rosochate woły apenińskie, drobne góralskie koniki, wozy. Przyciągały w ten sposób i kobiety z dziećmi, które karmiły, na rękę: w dzień pracowano, wieczorem rozpalono wielkie ogniska w obozach koczowniczych, a po krótkiej nocy odpoczynku, odzywał się o szarym dnia świtanie głos: „Zawitaj Ranna Jutrzenko...” „Zawitaj gwiazdo Morza!” (najmilsza ludowi włoskiemu pieśń do Matki Boskiej). Zmieniano się tak parafiami; a nigdy nie zabrakło z własnej woli pracującego robotnika, i można powiedzieć, że pracowała tak lat dwadzieścia z najczystszej zapału serce urodzona miłość i wiara ludu włoskiego—bezinteresownie, szczerze, biorąc zapłatę w rozkoszy dokonywanego czynu,

Dziesięć milionów lirów kosztu zeszyły na 950,000!

Czy wiek nasz można nazwać bezwzględnie wiekiem materializmu, czy te dwa uczucia najwyższe: miłość tego ideału na niebie, który jest Bogiem i drugiego na ziemi, który jest ojczyzną—wygasły? Czy komuny i socjalizmy wygnały je i wygnać kiedykolwiek zdołają z piersi ludzkiej?

Kiedy na ostatnich zebraniach parlamentu włoskiego, w Kwietniu, lewica zaczęła się opierać, a nawet ze względów oszczędności i środków okazywał niechęć dla projektu postawienia pomnika Minghettemu, szlachetnemu towarzyszywi dzieł Wiktora Emmanuela, ministrowie: Crispi i Zanardelli, którzy stoją po stronie lewicy, a nawet na lewicy czele, oświadczyli stanowczo, że tego projektu cofnąć *nie mogą*—że tego projektu cofnąć *nie chcą*... Wniosek też przy głosowaniu przeszedł większością głosów ogromną.

Są cuda, które się śnią prawdziwym filozofom... tym, którzy umieją patrzeć w głąb człowieka.

Do cudów, w zakresie tego, co się zamyka w piersi ludzkiej, co tę pierś napęlnia, przyniesione ze sobą — zkaćciś... należy fakt nie wspólzawodnictwa, ale — jak piszą dzienniki włoskie, współtwórstwa z de Fabrisem prostego kamieniarza, człowieka, który nie umie ani czytać, ani pisać. Angiolo Marucelli, niewidomy na jedno oko: „il Canapino” dozorca robotników, ociosujących marmury, okazał przy pomniejszych robotach taką niesłychaną delikatność, taką szlachetność linii—taki gieniusz rzeźbiarski, że de Fabris zaczął go słuchać w uwagach ogólnych nad dokonywanem dziełem, zaczął mu powierzać roboty rzeźbiarskie największego znaczenia, zdając je w zupełności na jego fantazją twórczą. I przesliczne, wszystkich znawców uwielbienie budzące rzeźby: wieńce, liście, kwiaty nieopisaną, jak

wszyscy utrzymują, lekkości i wdzięku, z pośród których wychylają się cudownie piękne i pełne natchnionej poezji główki aniołków, popiersia i postacie całe świętych, wyszły z pod jego ręki. A nie lepił ich pierwiej z gliny, nie odlewał z gipsu—jak Michał Anioł rzeźbił je od razu z natchnienia, które go nigdy nie zawiodło. Po śmierci de Fabris'a następca jego uszanował wielkiego sztukmistrza i nie cofnął mu już swobody, z którą cudownie rozporządzał marmurem. Dziś nazwisko jego brzmi w całych Włoszech,—dziś to już jest z genialności swojej znany mistrz, który budzi zachwyty i któremu popołowie z de Fabrisem należy się wdzięczność włoskiego narodu za to, że fronton starożytne katedry florenckiej, jest dziełem wysokiego stylu, wysokiego piękna, najwyższym utworem naszego stulecia w zakresie sztuki plastycznej.

I Angiolo Marcelli nie wziął za arcydzieło swoje ani skuda. Sława zstąpiła na niego prawdziwie jak na skrzydłach archanielskich, gliną ziemską nieobciążonych, urodzona z natchnienia najczystszych, najidealniejszych uczuć.

Z całych Włoch zbiegły się do Florencji tłumy, upojone radością, pełne najwyższego entuzjizmu; idea Italii wcieliła się niejako w to dzieło wieków, i lud wiejski z całej Toskanii tu jest, bratający się uczuciem z klassami wyższymi. Obyczaje włoskie noszą na sobie tę cechę starej cywilizacji, że nie istnieje w nich przedział klas taki, jak gdzieindziej; lud włoski ma w sobie godność i szlachetność wyjątkową, niemal, arystokratyczną. Niedarmo otaczają go zewsząd dzieła sztuki, arcyzm wsiąka w niego i poleruje go w sposób, nieznanym narodom innym. Miłość i znanstwo sztuki jest tu między ludem zadziwiająca, narodowy geniusz jest też tu w tem, i dla tego il Canapino mógł się urodzić w tłumie i wyjść z niego.

Uroczystość poświęcenia jest niepodobną do nieopisania, jak nieopisaną była dekoracja wszystkich murów, domów, gmachów otaczających katedrę. Jakie kobierce, gobeliny makaty starożytne, tkane złotem i jedwabiami we wzory najpyszniejsze—zwieszały się od okien i balkonów! Ale przede wszystkim cudowne prawie umajenie, ukwiecenie miasta sprawiało efekt czarodziejski. Był w pobliżu katedry dom trzypiętrowy, cały opleciony różami; były szpalery drzew pomarańczowych—starych drzew, okrytych dojrzałym owocem, które powycinano z sadów, ogrodów i przymocowano misternie do murów.

— Szalone marnotrawstwo! — ktoś powie, ale marnotrawstwo sere gorących i duchów, które się dają unosić porywem szlachetnego zapachu. Życie go z całej duszy i nam i ziemi całej.

Trybuna dla pary królewskiej była wzniesiona naprzeciwko pod sławnymi spizowemi wrotami Ghibertego. Michał Anioł zwał je wrotami raj, a rzeczywiście otwierają patrzącemu raj zachwycających wrażeń. Królestwo przybyli o 10, przyjmowani przez syndyka, margrabiego Torrigiani, a należy tu wspomnieć, że para królewska zjawia się zawsze z najściślejszą punktualnością czasu na wszystkich tego rodzaju obrzędach, co jest dowodem uszanowania publiczności. Tłok był na placu nieopisany; zalegało go dwakroć set tysięcy ludzi, ale cisza była taka, że słyszeć było można szmer każdy, aż nagle na znak dany przez królową Małgorzatę, wzbija się w niebogłosy okrzyk, wybiegły z wszystkich piersi tego tłumu... To zasłona, pokrywająca fronton katedry opadła: arcydzieło wieków, fasada oczekiwana przez pokolenia sześciuset lat, ukazała się oczom!

W tej chwili wrota kościelne rozwarły się. Arcybiskup w szatach pontyfikalnych, otoczony

klerem, ukazał się w nich i skłonił głowę przed parą królewską, co, jak mówiono, wyszło z osobistego rozkazu Leona XIII. Rozpoczął się obrządek poświęcenia, przy dźwiękach hymnu: „Attollite portas!“

Następnie zaśpiewano psalm: „Domini est terra!...“ W tej chwili uderzono we wszystkie dzwony starej campanili i wypuszczono sto białych gołębi, które rozleciały się we wszystkich kierunkach. Ze były przywiezione z rozmaitych miast włoskich, do których teraz lot skierowały, wkrótce całe Włochy dostały wiadomość, że akt się spełnił.

Arcybiskup, stojący w pośrodku kościelnego krążanka, podniósł w tej chwili rękę, błogosławiąc królewską parę a jednocześnie zabrzmiało wielkie, przez sto kapłańskich głosów śpiewane: „Te Deum,“ gdy wewnątrz dotąd ciemnej świątyni zapaliło się naraz za pomocą elektrycznego drutu sto świec jarzących.

Królowa Małgorzata płakała.

W kilka dni potem odbył się w Palazzo Vecchio, czyli w ratuszu, bal, w którym brało udział 2,000 osób, a z tych trzy części w najparadniejszych historycznych strojach, na które mogła się tylko zdobyć najstarsza w świecie arystokracja. Kto w kostymie nie był, musiał z obowiązku włożyć na siebie ubiór, noszony we Florencji na ulicę za czasów Danta: luźną, długą szatę czerwonego koloru, krojem odpowiadającą używanym obecnie na maskarady dominom. Zwierzchnia ta suknia z kapturem zwała się we Florencji: „Lucco,“ lecz w innych miastach, naprzykład w Wenecji, gdzie bywała czarna, nazywała się: „domino.“ Tylko królestwo i księżę Neapolu byli nieprzebrani.

Nazajutrz odbył się przy pochodniach przeciągający przez ulice pochód historyczny, przedstawiający orszak Amadeusza VI, hrabiego Sabaudyi, powracającego w r. 1367 z Ziemi Świętej, a z której przybył do Florencji d. 4 Maja tegoż roku i był uroczystie witany przez miasto. Parada to była niesłychana i efekt wspaniały, choć deszcz uczynił krzywdę jedności wrażeń, że nie dopuścił, jak to było postanowionem, aby się to odbyło zaraz nazajutrz po uroczystości kościelnej, bo ta nastroiła duchy wysoko i wytworzyła atmosferę patryotyczną, którą wciągały w siebie osoby nawet najrealniejszego usposobienia.

A teraz wiadomość jedna jeszcze, brzmiąca przy tem wszystkim, co było wyżej, jak zgrzyt pękającej nagle stali. Wśród tej Florencji szczęśliwej i uczującej tak pysznie, zabił się wystrzałem z pistoletu w dniu 4 Maja starzec sędziwy—kapitan Juliusz Ordon! Samotny był, jak żuraw „zostawiony na mogił straży,“ ale nie popadły w nędzę, która często dosięga takiej starości na obczyźnie. Pobierał żołd majora wojsk włoskich, bo też nim był i bił się na wszystkich polach walki za wyswobodzenie Włoch. Życie może nagle zaciężyło starcowi wobec tej radości ogólnej szczęśliwego narodu! Mickiewicz dał mu za życia jeszcze apoteozę śmierci bohaterskiej i mógł naraz pożałować, że nie umarł tak niegdyś... Nie chciał konać powoli jak lampa, w której oliwa już wygorzała: w koło niego wołano: „Viva l'Italia!...“ i on, który już nie mógł nic wołać, pociągnął drżącą ręką kurek pistoletu...

August.

Dla prenumeratorów na prowincyi dołącza się *Cennik fabryki maszyn* Lalpop, Rau i Löwenstein.

TANIE

Zbiorowe wydanie

POWIEŚCI

J. I. KRASZEWSKIEGO

KAŻDA POWIEŚĆ
sprzedaje się osobno
po 40 kop. za tom.

NABYWAJĄCY 10 TOMÓW
płacą za tom nie po 40 lecz
30 kop.

W wydaniu tym wyszły:

Boża opieka, 1 tom.
W mętnej wodzie, 2 tomy.
Dzieci wieku 3 tomy.
Piękna Pani, 1 tom.
Powrót do gniazda, 2 tomy.
Na ementa i
Papiery po Gilice } 2 tomy.
Morituri, 3 tomy.
Bracia rywale, 1 tom.
Żeliga, 2 tomy.
Pan na czterech chłopach, 1 tom.
Syn marnotrawny, 2 tomy.
Ostatnie chwile Wojewody, 1 tom.
Z życia awanturnika, 2 tomy.
Brühl, 3 tomy.
Pamiętniki panicza
i Dajmon } 2 tomy.
Resurrecturi, 3 tomy.
W starym piecu, 1 tom.
Hołota, 2 tomy.
Kawał literata, 2 tomy.
Orbeka, 2 tomy.
Zakłeta księżniczka, 1 tom.
Ada, 4 tomy.
Nad modrym Dunajem, 1 tom.
Niebieskie migdały, 4 tomy.
Klin klinem, 1 tom.
Sprawa kryminalna, 2 tomy.
Cześniakówny, 2 tomy.
Męczennicy, 6 tomów.
Czarna perełka, 2 tomy.
Jesień, 3 tomy.
Sieroce dole, 3 tomy.
Zygaki, 2 tomy.
Pan z panów, 1 tom.
Mogilna, 2 tomy.
Pan Major, 1 tom.

WARUNKI NABYCIA:

Cały zbiór 74 tomy

40 POWIEŚCI
kosztuje rs. 22

z przesyłką rs. 23.

Każda powieść sprzedaje się osobno po kop. 40 za tom, pocztą 45 kop., biorący od razu najmniej 10 tomów, płaci tylko po 30 kop. z przesyłką 35 kop.

MICHAŁ GLÜCKSBURG,
Księgarz Wydawca; ul. Królewska Nr. 5.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczy* dołącza się arkusz 11-ty powieści pod tyt: **Konieczność**, przez M. E. Braddon; oraz arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabusson.

TREŚĆ: Mikołaj Zyblikiewicz, wspomnienie pośmiertne.—Dwa hymny, poezya, przez J. Nitowskiego.—Filistry, powieść przez M. Gawałowicza.—Wystawa higieniczna, (dział wychowawczy), przez Wł. Nowickiego.—**Nowiny paryzkie**.—Dramata konkursowe, II, (dalszy ciąg), przez St. Krzemińskiego.—**List z Rzymu**, (dokończenie).

Dodatek obejmuje: Arkusz 11-ty powieści pod tytułem: **Konieczność**, przez E. Braddon; oraz arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabussona.—Przegląd mód.—19 wzorów ubiorów i robót z opisem Sekretarza gospodarskie.—**Dyspozycyą stołu**.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

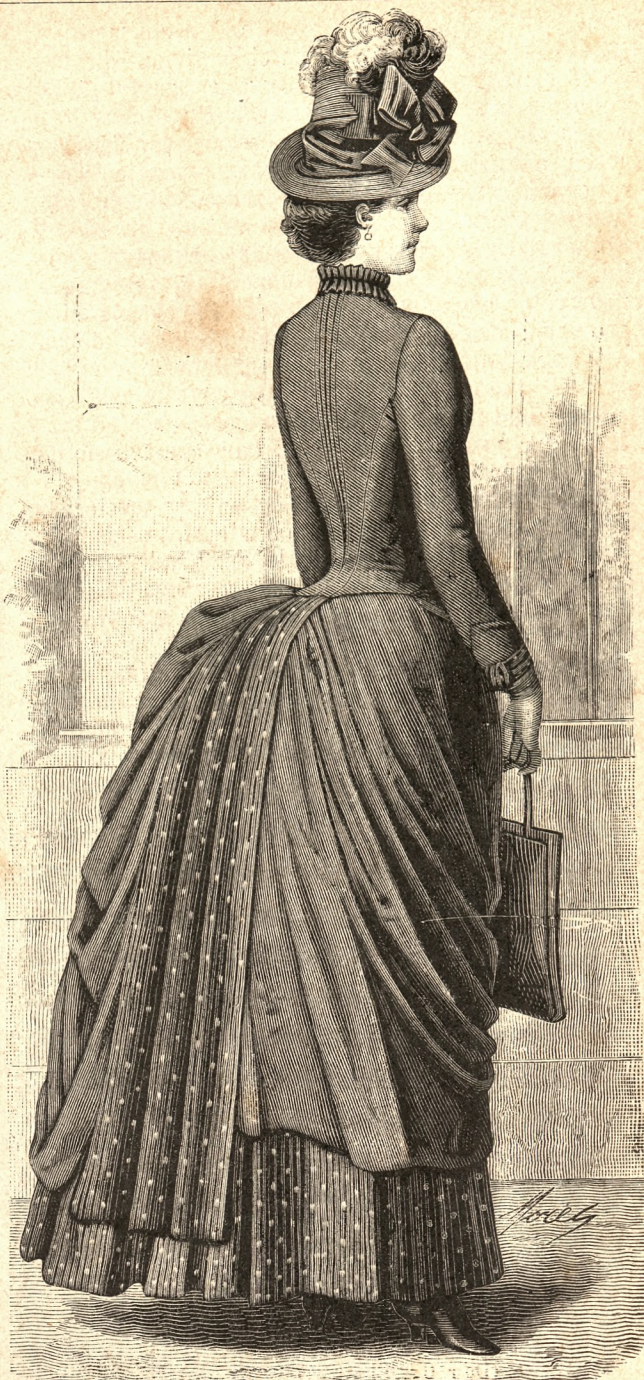
Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 27 Мая 1887 года.

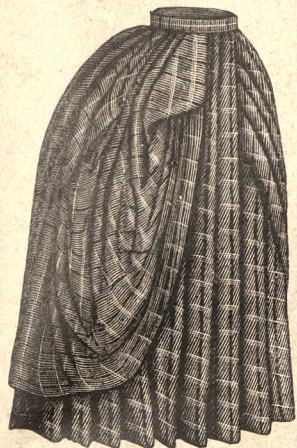


Nr 1. Suknia z zefiru. Prząd. (Do ryc. 3).
Krój i opis pierw. str. tabl. Nr XI, fig. 25 — 38.

czasem wszedłszy do magazynu pani Heurich, zobaczyliśmy bardzo ładne zefiry, kretony, a nawet satiny krajowych fabryk. Otóż z zagranicznych podobały nam się zefiry ażurowe w pasy gładkie, na przykład: pas 3 cent. szeroki koloru szpagatu ażurowy, dzieli także szerokości pas lila, lub granatowy. Śliczna kombinacja była w cieniutkim zefirze koloru stalowego z białym — zawsze pasy jasne, są ażurowe. Dalej były śliczne krepy w kratę większą, złożoną z samych drobnych, w pewnych kolorów modnych, krepy takie służą na całe kostiumy, wraz z parasolką, kapeluszem, a nawet bucikami — w cenie po 65 kop., podwójna szerokość. Z innych fabryk śliczne są płótna alzackie — materiał miękki, ale nieco grubszy, w podłużne koła białe, naśladowujące zupełnie fulary, dziś tak bardzo modne, po 45 kop. Zefiry krajowe, nie łódzkie, bo tam mało wyrabiają zefirów, ale z kilkudziesięciu fabryk innych miast, jak Pabianice, Zduńska Wola, Ozorków i t. p., są wcale miłutkie i jako wyrób i jako deseń, a kosztują tylko 18 do 20 kop. — toć przecie można się wystroić w taką suknię i w najtrudniejszych okolicznościach finansowych, choć jedną suknię sprawić. Nie mówimy już nawet nic o kretonach krajowych, które już od 10 do 15 kop. są wcale możliwe, dla panienek podlotków, dla dzieci potrzebujących częstej zmiany, a mianowicie na letnie bluzy codzienne, na wieś na letnie mieszkania, gdzie cały dzień zawsze porządnie, choć nie drogo, można być ubraną i przez oszczędność drogiej sukni nie krepować się i prawdziwie używać zabawy sielskiej czy w lesie, czy na łódce i wtedy dopiero powiedzieć można, że się przyjemnie i z korzyścią dla zdrowia



Nr 2. Suknia z kaszmiru i fularu. Plecy. (Do ryc. 6).
Opis odwr. str. tabl.



Nr 3. Spódnica do sukni ryc. 1.



Nr 5. Suknia z zefiru. Opis odwr. str. tabl.

Nr 6. Suknia z kaszmiru i fularu Prząd. (Do ryc. 2)



Nr 4. Spódnica do ryc. 4
w Blu. Nr 24.

Przeгляд mód.

Kretony i zefiry. — Rozmaitość wyrobów różnych fabryk. — Taniść i praktyczność krajowych kretonów. — Co brać w drogę? — Halki. — Fartuszki dziecinne i w ogóle mody dziecinne. — Ładny kostium białego i korkowego koloru. — Szarfy modne, odświeżające do brze dawne tualety.

Trzeba być sprawiedliwą przede wszystkim, a tembardziej dla nas samych. Po ślicznych wyrobach francuzkiej bawelny, widzianych u pana Makowskiego, zdawało nam się, że już nie ma co patrzeć na wyroby tego rodzaju, z innych na przykład naszych fabryk. Tym-

z pory letniej i pobytu na wsi korzystało.

Prześliczny kostium oryginalnie typowy, w dystyngowanym rodzaju, widzieliśmy w magazynie pani Grąbczewskiej „au printemps“, Kredytowa Nr 9. Spódnica stanowiąca tło kostiumu była z grubej białej serży — tej spódnicy widać było tylko jeden bok cały zahaftowany sutaszem koloru korka; tiunika udrapowana podłużnie, w sposób pokrywający białą spódniczkę, była z wigoniu koloru korka, wzdłuż przecięta dużą plisą aksamitną tegoż koloru. Stanik z bawetem z przodu, a płaskim karoczkim z tyłu, miał za całą ozdobę napierśnik, kołnier i mankiety haftowane suta-

szem na tle białym. Chociaż to kostium wełniany, ale bardzo lekki, więc na chłodniejsze dni lata stosowny. Szerokie plisowane szarfy „à la Robespierre“, należą do modnych nowości w Paryżu; elegantki mianowicie o szczupłej figurze, noszą je bardzo, gdyż szarfa taka otaczając figurę, czyni ją wybitniejszą. Można odświeżyć całą toaletę starą, włożywszy spódniczkę na bawet i otaczając figurę szkocką szarfą związaną z boku. Takie szarfy ślicznie dopełniają sukien zefirowych, batystowych, a nawet białych wigoniowych; szarfa może być odmiennego koloru, a jednak będzie dobrze. Na tem kończę przegląd letnich toalet, poznajomiwszy czytelniczki ze wszelkimi nowościami sezonu i pozostaje mi tylko dodać jeszcze kilka słów, odnoszących się do wyjazdu na wieś, lub do miejsc kąpielowych.

Dziś zapewne większość ograniczy wycieczki do krajowych lub galicyjskich miejscowości, otóż przypominam praktyczną jak sądzę radę, brania ze sobą jak najmniej rzeczy, lecz wszystko całe i nowe; najwyżej cztery suknie wraz z podrózną, bez stałek, które tyle miejsca zajmują w kufrze i niszczą, gniotą suknie; jedna krenolina, trzy spódniczki, dwie białe na odmiannę dając do prania i jedną halkę płócienną szarą lub kretonową, jaką widzieliśmy w składzie drobiazgów kobiecych, dopełniających naszą toaletę, jak woalki, krepki, gazy, rękawiczki, „fils-d'ecosse“ i jedwabne



Nr 8. Sukienka dla dzieci od 1 do 3 lat. Przód. (Do r. 6 w Bl. Nr 24). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 6—8.

pani Heleny Roszkowskiej, Niecała Nr 12. Wybór wielki, a ceny bardzo tanie. I tak: szara płócienna z plisowaną falbanką, wyszywaną brązowym sutaszem, za 2 ruble, to już nie można nazwać drogością, inna kretonowa granatowa, naszywana kremowemi pliskami, była śliczna. Ale najważniejszą zasługą tego składu, jest zajęcie się dziećmi, bo oprócz, jak wiemy charakterystycznych lalek spotykamy tam fartuszki dziecinne perkalowe i kretonowe tak pięknych nowych fasonów, jakie w piśmie naszym podajemy ciągle. Fartuszki takie zastępują bardzo dobrze całe sukienki, niektóre są z rękawkami krótkimi, inne bez rękawów wycięte u szyi i tylko szlaczkiem wążutkim okolone, wszystkie prawie marszczone poniżej pasa. Co to za śliczne ubranie dla dzieci taki fartuszek. Dzięki Bogu, że dziś moda, czy też rozsądek matek, w modach dziecinnych zwrócił się ku praktycznej formie bluzki ze spódniczką przepiętą szarfą — bluzki takie ze spódniczką, lub też całe sukienki trykotowe u panien Weissenhoff



Nr 13. Sukienka batystowa dla niemowląt. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr V, fig. 16 i 17.



Nr 7. Sukienka dla dzieci od 1 do 2 lat. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—5.

13 parę 3 razy okęcić, cerowany ściąg 13 do 11 parę, 11 parę 2 razy okęcić, cerowany ściąg 11 do 9 parę, 9 parę 2 razy okęcić, cerowany ściąg 9 do 7 parę, 7 parę raz okęcić, 1 podwójny ściąg 7 i 6 parę, śpilkę wpiąć pomiędzy 7 i 8 parę w dziurkę 10, podwójny ściąg 6 do 3 pary, trzema pierwszymi parami brzeg, przyczem wpiąć śpilkę w dziurkę 11; cerowany ściąg 7 do 9 parę, 9 pa-



Nr 12. Płaszczek dla dzieci od 1 do 3 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XIV, fig. 48—53.

Warecka 9, bardzo zręcznie ubierają dziewczynki od 5 do 10 lat. Już mowy nawet niema teraz o owych naśladownictwach toalet starszych, o jedwabiach i koronkach, któremi zarzucone były lat temu kilka toalety dziecinne — prostota i wygoda zastąpiły je w zupełności.

L. C.

Koronka klockową robotą.

[Rycina Nr 11 do 13 w Blu. Nr 21.

Koronka wykonana 22 parami klocków, niemi koronkowemi Nr 80. Przygotowawszy sobie wzorek podług ryciny 13, należy umocować takowy na waleczku, poczem w punktach oznaczonych na ryc. 11 cyfra-

mi 1, a, b, c, d, e, f, g, 4, 7 i 12, wpiąć po jednej śpilce i na każdej zawiesić po dwie pary klocków. Pierwszą i drugą parę 1 pół-ściąg, na brzeg 1 podwójny ściąg 3 i 2 parę, śpilkę wpiąć w dziurkę 2 1 podwójny ściąg 2 i 1 parę, pierwszą parę 1 raz okęcić, śpilkę zamknąć 2 i 3 parę, śpilkę b zamknąć 1 pół-śc., 1 podw. śc. 5 i 4 par., 1 podwój. śc. 4 i 3 parę, poczem wykonać brzeg trzema ostatnimi parami, wpinając śpilkę w dziurkę 3; 1 podwójny ściąg 18 i 17 parę, cerowany ściąg 17 do 15 parę, 15 parę 4 razy okęcić, ściąg cerowany 13 do 11 parę, 11 parę 2 razy okęcić, cerowany ściąg 11 do 9 parę, 9 parę 2 razy okęcić, cerowany ściąg 9 do 7 parę, 7 parę 1 raz okę. 1 podw. śc. 7 i 6 par. śpil. wpiąć między 7 a 8 parę, w dziur. 5 (poczem 7 parę mocno ściągnąć, nie zamkając wszakże śpil.) 1 podw. ściąg 6 do 3 pary, poczem brzeg 3 pierwszymi parami, wpinając śpilkę w dziurkę 6, ściąg cerowany 7 do 9 parę, 9 parę 2 razy okęcić, cerowany ściąg 9 do 11 parę, 11 parę 2 razy okęcić, cerowany ściąg 11 do 13 parę, 13 parę 3 razy okęcić, cerowany ściąg 13 do 15 parę, 15 parę 4 razy okęcić, cerowany ściąg 15 do 17 parę, 17 parę 1 raz okęcić, 19 do 20 parę 1 pół-ściąg, takież ściąg 19 i 18 parę, śpilkę wpiąć w dziurkę 8 zamknąć takową, 1 podwójny ściąg 18 i 17 parę, śpilkę wpiąć pomiędzy 17 a 16 parę w dziurkę 9, poczem 18 parę mocno ściągnąć; cerowany ściąg 15 do 13 parę,



Nr 9 i 10. Kaftanik dziecinny. (Do ryc. 11). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XV, fig. 54—59.

re 2 razy okęcić, ściąg cerowany 9 do 11 pary, 11 parę 2 razy okęcić, cerowany ściąg 11 do 13 pary, 13



Nr 11. Szlaczek do ryc. 9 i 10 krzyżowym haftem.

parę 3 razy okęcić, cerowany ściąg 13 do 15 parę, 15 parę 4 razy okęcić, cerowany ściąg 15 do 17 parę, 17 parę raz okęcić, 21 i 22 parę 1 pół-ściąg, takież ściąg 21 i 20 parę, śpilkę wpiąć w dziurkę 13, zamknąć takową, 1 pół-ściąg 20 i 19 parę, śpilkę wpiąć w dziurkę 14, zamknąć takową, 1 pół-ściąg 19 i 18 parę, śpilkę wpiąć w dziurkę 15, zamknąć takową,



Nr 14. Płaszczek pikowy dla niemowląt. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 39—45.

wą, 1 podwójny ścieg 18 i 17 parą, śpilkę wpiąć w dziurkę 16, pomiędzy 17 i 16 parą; cerowany ścieg 17 do 15 parą, 15 parę raz okręcić, śpilkę wpiąć w dziurkę 17, pomiędzy 10 i 11 parę, cerowany ścieg 11 do 9 parą, cerowany ścieg 12 do 10 parą, 9 parę aż do 12 po 3 razy okręcić, 1 podw. śc. 12 i 14 par., 14 par. 3 razy okręć., 1 podw. śc. 14 i 15 par., śc. cer. 15 do 17 par., 18 aż do 22 par. raz okręć., cer. śc. 17 do 21 parą., 21 parę 3 razy okręć., 1 podw. śc., 21 do 22 śpil. wpiąć w dziur. 18, takową 21 parą 2 razy okręcić, cer. ścieg 21 do 17 pary, śpilkę wpiąć w dziurkę 19, cerowany ścieg 17 do 21 parą, 21 parę 3 razy okręcić, 1 podwójny ścieg 21 do 22 pary, śpilkę wpiąć w 20 dziurkę zamknąć takową 21 parą 2 razy okręcić cerowany ścieg 21 do 17 parą, śpilkę wpiąć w 21 dziurkę cerowany ścieg 17 do 21 parą, 21 parę okręcić 3 razy, 1 podwójny ścieg 21 do 22 parą, wpiąć śpilkę w dziurkę 22, zamknąć takową 21 parą 2 razy okręcić i t. d. aż do dziurki 26, poczem śpilkę zamknąć 21 parą, 2 razy okręcić, cerowany ścieg 21 do 17 parą, 17 parę 3 razy okręcić i założyć na śpilkę wpiętą w dziurkę 27; parę 18 do 22 po 2 razy okręcić, 1 pół-śc. 18 i 19 par. śpil. wpiąć w dziur., 28 zamk., 1 pół-ścieg 19 i 20 par., śpil. wpiąć w dziur. 29, zamk., poczem w ten sam sposób aż do dziurki 31, następnie cerowany ścieg 11 do 13 pary, 13 parę 3 razy okręcić, 1 podwójny ścieg 13 i 14 parą, śpilkę wpiąć w dziurkę 32, 13 parę 2 razy okręcić, 14 parę raz okręcić, cerowany ścieg 14 do 16 parą, 16 parę 2 razy okręcić, śpilkę wpiąć w 33 dziurkę, cerowany ścieg 16 do 14 parą, 14 parę 2 razy okręcić, cerowany ścieg 9 do 7 parą, 7 parę 1 raz okręcić, 1 podwójny ścieg 7 i 6 parą, śpilkę wpiąć w dziurkę 34, pomiędzy 7 i 8 parę; podwójny ścieg 6 do 3 parą, poczem trzema pierwszymi parami brzeg, wpinając śpilkę w dziurkę 35, cerowany ścieg 7 do 9 pary, 9 parę 1 raz okręcić, 1 ścieg podwójny 9 i 10 parą, wpiąć śpilkę w dziurkę 36, pomiędzy te pary, 10 parę 2 razy okręcić, ścieg cerowany 9 do 7 pary, 7 parę raz okręcić, 1 ścieg podw. 7 i 6 parą, wpiąć śpil. w 37 dziur., pomięd. 7 i 8 parę, podwój. ścieg 6 do 3 pary, trzema pierwszymi parami brzeg, wpinając śpilkę w 38 dziurkę, cerowany ścieg 7 do 9 pary, 9 parę 3 razy okręcić, cerowany ścieg 10 do 12 pary, 12 parę 2 razy okręcić, cerowany ścieg 12 do 14 pary, ściegi cerowane 9 do 11 pary, 11 parę 2 razy okręcić, ścieg cerowany 11 do 13 pary śpilkę wpiąć w 39 dziurkę, pomiędzy 11 a 12 parą

17 do 15 pary, 15 parę 3 razy okręcić, cerowany ścieg 15 do 13 pary, 13 parę 2 razy okręcić, cerowany ścieg 13 do 11 pary, 11 parę 3 razy okręcić, cerowany ścieg 11 do 9 pary, 9 parę 4 razy okręcić, cerowany ścieg 9 do 7 pary, 7 parę raz okręcić, 1 podwójny ścieg 7 i 6 parą, wpiąć śpilkę w dziurkę 40, * podwójny ścieg 6 do 3 parą, trzema pierwszymi parami brzeg, przyczem śpilkę wpiąć w dziurkę 41 ** cerowany ścieg 7 do 9 pary, 9 parę 4 razy okręcić, cerowany ścieg 9 do 11 pary, 11 parę 3 razy okręcić, cerowany ścieg 11 do 13 parą, 13 parę 2 razy okręcić, cerowany ścieg 13 do 15 pary, 15 parę 3 razy okręcić, cerowany ścieg 15 do 17 pary, 17 parę raz okręcić, 1 podwójny ścieg 17 i 18 parą, śpilkę wpiąć w 42 dziurkę, pomiędzy 16 a 17 parę, ** następnie zarobić dziurkę 43 do 45, powtórzyć od * do *, wpinając śpilkę w dziurkę 46 poczem 6 do 3 parą wykonać podwójne ściegi, a trzema ostatnimi parami brzeg, wpinając śpilkę w dziurkę 47, od ** do ** powtórzyć wpinając śpilkę w dziurkę 48. Zarobiwszy dziurkę 49 i 50, powtórzyć od * do * wpinając śpilkę w dziurkę 51, poczem 6 do 3 pary wykonać podw. ścieg, a trzema pierwszymi parami brzeg, wpinając śpilkę w dziurkę 52; poczem od ** do ** powtórzyć, śpilkę wpiąć w dziurkę 53 i 54, od * do * powtórzyć, śpilkę wpiąć w dziurkę 55, podwójny ścieg 6 do 3 pary, a trzema pierw. parami, brzeg wpinając śpilkę w dziurkę 56, od **

powtórzyć, wpinając śpilkę w dziurkę 57; cerowany ścieg 17 do 15 parą. 15 parę raz okręcić, śpilkę wpiąć w dziurkę 58, między 12 a 13 parę, cerowany ścieg 13 do 11 pary, cerowany ścieg 14 do 12 parą, 11 do 14 parę dwa razy okręcić, 1 podw. ścieg 14 do 15 parą, cerowany ścieg 15 do 17 parą, 17 parę 3 razy okręcić, 18 do 22 pary okręcić, poczem 17 do 22 pary jeden ząbek jak poprzedni, przyczem śpilki wpinają się w dziurku 59 do 68. Okręciwszy 18 do 22 pary po dwa razy, zarabiać dziurki 69 do 72, 14 parę raz okręcić, podw. ścieg 13 i 14 parą, śpilkę wpiąć w dziurkę 73, 13 parę 2 razy okręcić, 14 parę raz okręcić, ścieg cerowany 14 do 16 parą, 16 parę 2 razy okręcić, wpiąć śpilkę w dziurkę 74, cerowany ścieg 16 do 14 parą, 14 parę 4 razy okręcić, cerowany ścieg 11 do 9 parą, 9 parę 3 razy okręcić, cerowany ścieg 9 do 7 parą, 7 parę raz okręcić, podwójny ścieg 7 i 6 parą, śpilkę wpiąć w dziurkę 75, podwójny ścieg 6 do 3 pary, poczem brzeg wpinając śpilkę w 76 dziurkę, cerowany ścieg 12 do 10 pary, 10 parę 3 razy okręcić, 1 podwójny ścieg 10 i 9 parą, śpilkę wpiąć w dziurkę 77, 10 parę 2 razy okręcić, ścieg cerowany 9 do 7 parą, 7 parę raz okręcić, 1 podw. ścieg 7 i 6 parą, śpilkę wpiąć w dziurkę 78, podw. ścieg 6 do 3 parą, poczem brzeg wpinając śpilkę w dziurkę 79, cerowany ścieg 7 do 9 pary, 9 parę 3 razy okręcić, cerowany ścieg 13 do 11 parą, 11 parę 3 razy okręcić, cerowany ścieg 11 do 9 parą, cer. ścieg 14 do 12 parą, 12 par. 3 razy okręcić, cer. śc. 12 do 10 par., śpil. wpiąć w dziur. 80 między 10 a 11 p., † cer. śc. 17 do 15 par., 15 par. 4 razy okręcić, cer. śc. 15 do 13 par., 13 par. 3 razy okręcić, cer. śc. 13 do 11 par., 11 par. 2 razy okręcić, cer. śc. 11 do 9 par., 9 par. 2 razy okręć. cer. śc. 9 do 7 par. 7 par. raz okręcić, 1 podw. ście. 7 i 6 par., śpilkę wpiąć w dziur. 81, † śc. podw. 6 do 3 pary poczem brzeg 3 pierwszymi para. wpinając śpil. w 82 dziur., †† cer. śc. 7 do 9 par., 9 par. 2 razy okręcić, śc. cer. 9 do 11 parą, 11 par. 2 razy okr. cer. ście. 11 do 13 par., 13 par. 3 razy okręcić, cer. śc. 13 do 15 parą, 15 par. 4 razy okręć. cer. ście. 15 do 17 parą, 17 parę raz okręcić, 1 podwój. ście. 17 i 18 parą, śpil. wpiąć w dziur. 83, między 16 i 17 parą, †† zarobić dziur. 84 do 86, od † do † powtórzyć, śpil. wpiąć w 87 dziur., podwój. śc. 6 do 13 parą, poczem brzeg wpinając śpil. w 88 dziur. od †† do †† powt. śpilkę wpiąć w 89 dziur., zarobić 90 i 91 dziur., od † do † powtórzyć, śpilkę wpiąć w dziur. 92, 1 podw. śc. 6 do 3 par., poczem brzeg 3 pierwszymi par. wpinając śpil. w 93 dziur., od †† do †† powtór. śpil. wpiąć w dziur. 94 i robić 95, od † do † powtórzyć, śpilkę wpiąć w 96 dziur. podw. ścieg 6 do 3



Nr 15 Kapeluszy ogrodowy.

Nr 17. Kapeluszy ogrodowy. Opis odwr. str. tabl.

Nr 16. Kapeluszy ogrodowy.

Nr 18. Kapelusik dla małej pani.

parą, poczem brzeg wpinając śpil. w 97 dziur., od †† do †† powtórzyć, śpil. wpiąć w dziur. 98, poczem postępować w dalszym ciągu roboty jak od 16 dziurki.

Suknia z zefiru.

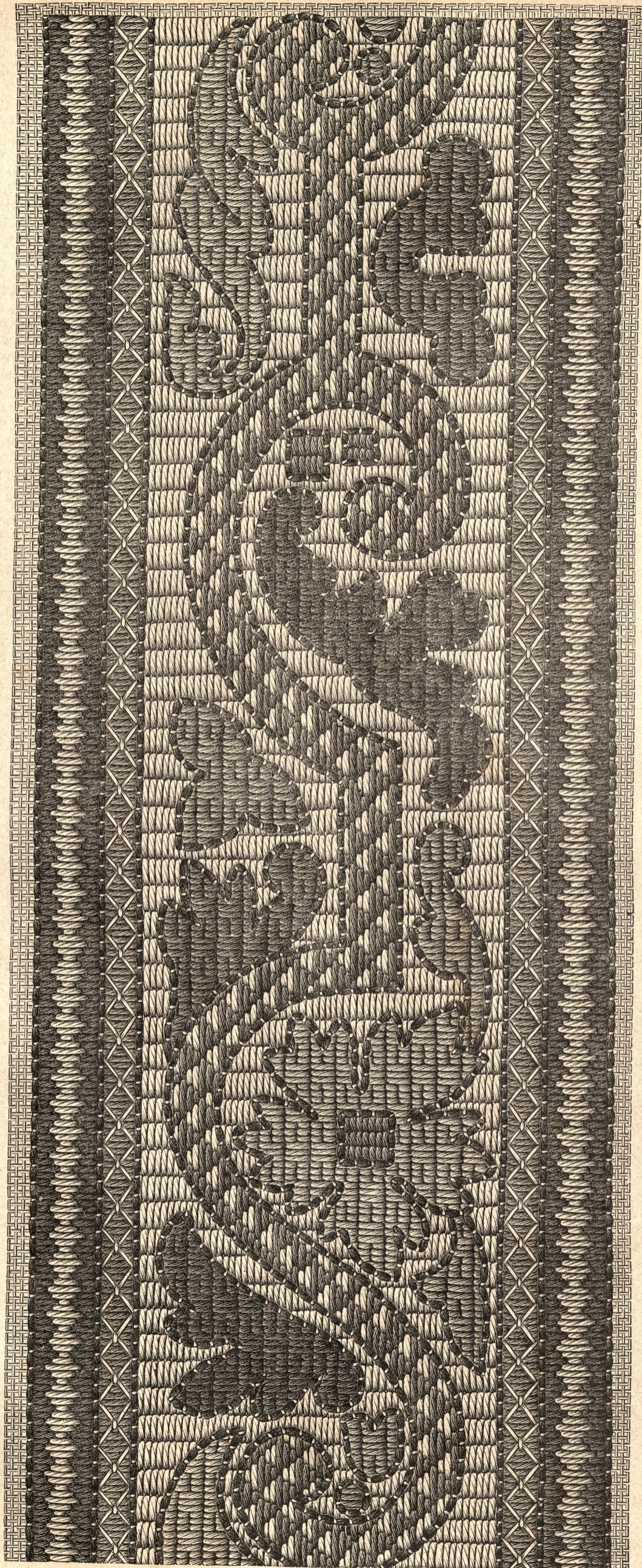
Rycina Nr 1 i 3. Krój pierw. str. tabl. Nr XI, fig. 25 — 38

Spódnicę 214 cent. szeroką nałożoną u dołu na 10 centim. zefirem w szafirową i białą kratkę, uzupełnia wolant 475 cent. szeroki z prawego boku długości spódnicy, w dalszym ciągu 92 centim. Na tiunikę ukroić podług zmniejszonych do 25 części form fig. 25 do 27 mianowicie przód podług fig. 25 tylne upięcie podług fig. 27, odstającą zaś z boku bufę podług fig. 26, liczby w konturach form oznaczają właściwą długość i szerokość części, liczby zewnętrzne od *a* i *b*, oznaczają punkta główniejszych znaków i linii, tudzież w fig. 25 odstęp od linii prostej, czyli brzegu materiału. Połączywszy fig. 25 z fig. 26 od liczby 37 do 38, zaś fig. 26 z 27 od liczby 39 do 40, fig. 26 założyć w ten sposób, ażeby dolny brzeg schodził się z górnym brzegiem, w fig. 27 wykonać szew, trafiając liczbą 41 na 41 do 42, zamocować następnie †† na kropce, oraz †c fig. 26 na kropce *c* fig. 25, a †d fig. 27 na kropce *d* fig. 26, poczem wszyć tiunikę w pasek razem ze spódnicą. Na stanik ukroić z podszewki, podług fig. 28, 32 i 33, tudzież z zefiru podług fig. 29 do 31, 36 i 37 po dwie części, podług fig. 34 jedną część złożoną wzdłuż środka, tudzież z szafirowego aksamitu kołnierzyk i mankietki. Po zaopatrzeniu fig. 30, 31 i 35 do 38 w podszewkę, kołnierzyk zaś i mankiety prócz tego w podkład z merli, w przodach z podszewki wykończyć zaszewki, połączyć fig. 33 z fig. 32 od liczby 51 do 52, tudzież plecy od liczby 53 do 54, zmarszczyć fig. 29 od * do *, fig. 34 wzdłuż górnego brzegu, ułożyć w plisy wzdłuż gładkich linii i przyfastrzygować do podszewki, pokrywając następnie gładko zefirem górną część stanika podług ryciny, wreszcie połączyć części podług znaków i przyszyć kołnierzyk z aksamitu. Rękawy zeszyte podług ryciny, wszyć w pachy, trafiając liczbą 63 rękawa, na takąż liczbę przodu stanika, zapinanego na drobne guziczki. Pasek z szafirowej skóry, uzupełnia suknię podług ryciny.

Kapelusz ogrodowy.

Rycina Nr 15.

Kapelusz z ciemno-żółtej pletni bastowej, z główką 15 cent. wysoką i równym rondkiem 10½ cent. szerokim, podszyty ukośną plisną z muslinu żółtego. Dwie duże kokardy z galonu słomkowego, tudzież suche polne rośliny zdobią kapelusz opasany w koło główki, słomkowym grubym sznurem.



Nr 19. Pas haftowany na poduszki, meble i t. p.

Kapelusz ogrodowy.

Rycina Nr 16.

Kapelusz odpowiedni na ranne wycieczki do ogrodu lub nad brzeg morza, cały z muslinu białego i koronki. Na rondko należy ukroić ukos 25 centim. szeroki, ściąć takowy z brzegów do 9 cent., złożyć we dwoje w kierunku długości, zeszyć wzdłuż zgięcia, a następnie jeszcze 4 razy w równych odstępach, ponawlekać szwy drucikami, nadając formę właściwą przez nagięcie drutów podług wzoru, wreszcie połączyć rondko z petynetową główką. Tę ostatnią pokryć i podszyć muslinem, poczem rondko podług ryciny naszyć dwa razy koronką 7½ cent. szeroką, tak, ażeby pierwszy rząd koronki na 2¼ centim. wystawał w około rondka. Na przybranie główki, należy koronkę zeszyć brzegami prostemi, a następnie ułożyć podług ryciny w kokardę, w którą wpiąć duży bukiet z polnych kwiatów.

Kapelusik dla małej panienki.

Rycina Nr 18

Bastowe rondko tego kapelusza odwinęte w rurki, podszyte jest blade-różowym surah, główka petynetowa, pokryta jest etaminą szpagatowego koloru w deseń; kokardy z różowej i oliwkowej wstążki 9 cent. szerokiej, uzupełniają kapelusz podług ryciny.

Przepisy gospodarskie

Pierniki orzeszkami zwane.

Mięsza się ½ funta mąki, ¼ funta cukru otartego o cytrynę, ½ luta cynamonu, 10 gwoździków, ¼ luta kardemonu, ¼ luta imbiru i ¼ luta pieprzu, wszystkie te korzenie miało utłuczone i przesiane, mięsza się w garnku z 3 rozbitymi jajami, mąką i cukrem mialkim; to wszystko powinno utworzyć sztywne ciasto, które się rozwałkowywa na stolnicy na grubość palca, wykrawając małe pierniczki wielkości laskowego orzecha i piec następnie w wolnym piecu.

L. C.

Obiad na Niedziele.

1. Barszcz z botwinką — jaja faszerowane.
2. Pekefleisz, — chrzan, groszek z marchewką.
3. Szparagi.
4. Kurczęta z sałatą.
5. Śmietana bita z marengami.

Opis ryc. 19 podamy w przyszłym numerze, reszta jest zamieszczona na tablicy krojów, dołączonej do zeszłego numeru.